



Urszula Gutowska
INNA KSIĄŻKA O JELENIU







Urszula Gutowska

INNA KSIĄŻKA O JELENIU

Jaworzno 2025





NA OKŁADCE

Zdjęcie pochodzi z prywatnego archiwum Zofii i Mariana Taborskich

INICJATYWA WYDAWNICZA

Muzeum Miasta Jaworzna

Dyrektor – Przemysław Dudzik

KOREKTA

Aleksandra Wołoszuk-Burda

© MUZEUM MIASTA JAWORZNA

OPRACOWANIE GRAFICZNE I REDAKCJA TECHNICZNA

dr Sławomir Śląski

DRUK

Drukarnia Tolek w Mikołowie

ISBN 978-83-65438-31-7





Spis treści

3	WSTĘP
4	ROZDZIAŁ I Tragedia w Dniu Świętego Szczepana
10	ROZDZIAŁ II Kultura i sport
38	ROZDZIAŁ III Wojenne opowieści
48	ROZDZIAŁ IV Protokoły partii PPS, czyli Jeleń powojenny
60	ROZDZIAŁ V Sto lat wspomnień
69	ROZDZIAŁ VI Z Jelenia do Gujany, czyli historia (nie)prawdopodobna
76	ROZDZIAŁ VII Kronika Miasta Jeleń – sentymentalna podróż do lat 70.
89	ROZDZIAŁ VIII Historia pary z okładki
97	ROZDZIAŁ IX Opowieść o moich dziadkach





WSTĘP

O JELENIU napisano już bardzo wiele. W lokalnej prasie pojawiały się artykuły o historii naszej dzielnicy, o sławnych osobach stąd pochodzących czy o ważnych wydarzeniach. W bibliotece znajdziemy niejedną książkę o jeleńskiej tematyce. Mieszkańcom znane są istotne daty, nazwiska, fakty.

Książka ta jest jednak inna. Powstała po to, aby sięgnąć tam, gdzie nikt nie sięgał, i opisać to, czego jeszcze nikt nie opisał. Fakty są tylko punktem wyjścia do snucia opowieści, które do tej pory żyły jedynie w pamięci mieszkańców Jelenia. Zostały mi one opowiedziane przez tych, którzy byli uczestnikami opisanych tu wydarzeń lub znali je z przekazu swoich rodziców czy dziadków. Inne historie oparte są na starych dokumentach, które przez wiele lat przeleżały w zapomnieniu – może na strychu albo w rzadko otwieranej przepastnej szufladzie. Przykryte grubą warstwą kurzu przechowywały historie opowiadające o Jeleniu z czasów, których wielu z nas już nie pamięta.

Inna książka o Jeleniu z pewnością nie wyczerpuje tematu. Być może jest tylko preludium do kolejnych opowieści. Opisałam w niej historie – nie najważniejsze dla historii Jelenia, ale takie, którymi jego mieszkańcy chcieli się ze mną podzielić. Ile jest jeszcze takich historii? Ile jest szuflad, strychów, zakamarków kryjących tajemnice i niezwykle opowieści sprzed lat? Ile albumów ze zdjęciami, które są świadectwem ważnych – być może tylko dla jednej rodziny – wydarzeń?

Mam nadzieję, że ta książka skłoni Państwa do sięgnięcia w zakamarki – zarówno domów, jak i pamięci – aby podzielić się swoimi znaleziskami i wspomnieniami z innymi. Ja zawsze chętnie wysłucham każdej opowieści...



Rozdział I

TRAGEDIA W DNIU ŚWIĘTEGO SZCZEPANA

Dzień Świętego Szczepana, przypadający w drugi dzień świąt Bożego Narodzenia, był zawsze czasem rodzinnych spotkań i odpoczynku od codzienności. W 1952 roku dzień ten wypadł w piątek – w piątek, który na długie lata zapadł w pamięć wszystkim mieszkańcom Jelenia.

Rodzinna uroczystość

Tego dnia państwo Paulina i Stanisław Koryczanowie z Wygody byli zaproszeni na szczególną uroczystość. Było to na wpół smutne, bo pożegnalne, a na wpół radosne spotkanie rodzinne. Franciszek, brat Pauliny, dostał posadę w Komitecie Centralnym, gdzie miał pracować pod wodzą samego Bolesława Bieruta, przywódcy Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Tuż po świętach, wraz z całą rodziną, przeprowadzał się do Warszawy.

Koryczanowie zabrali ze sobą najmłodszego syna – Rysia, dziesięcioletnia Tereska i o dwa lata od niej starszy Waldek zostali w domu. Na ciepłym węglowym piecu rodzice zostawili im obiad, o resztę mieli zatroszczyć się sami.

Na łyżwach z kolegami

Tamtego roku zima nie była sroga, ale wystarczająco mroźna, aby móc się wybrać na łyżwy. Waldek wziął swoją parę i poszedł wraz z kolegami na rozlewiska za wsią, położone nieopodal zagajnika w Dębie, w bliskiej odległości od miejsca, które mieszkańcy Jelenia nazywali Kleśnią. Latem rozlewiska zachwycały delikatnym piaskiem oraz porastającymi je liliami i szuwarami, a uroku temu miejscu dodawało rechotanie żab. Kleśnię odwiedzali chętnie





i starzy, i młodzi. Kiedy w letni dzień kogoś się nie zastało w domu, to było niemal pewne, że trzeba go szukać w Kleśni. Zimą miejsce to traciło na atrakcyjności, ale w jego pobliżu tworzyła się naturalna ślizgawka – bezpieczna nawet wtedy, gdy lód był cienki, bo woda, która zamarzała, nie była głęboka. Kleśnia

Na łyżwy, prócz dwunastoletniego Waldka, wybrało się też kilku jego kolegów. Najmłodszy miał jedenaście lat, a najstarszy – siedemnaście. Niektórzy wrócili wcześniej do domu, bo może zmarzli, a może obiecali rodzicom, że przyjdą na obiad... Pozostała piątka już nigdy nie opuściła rozlewisk...

Tereska w tym czasie, gdy Waldek był na łyżwach, wybrała się w odwiedzinach do – mieszkających w pobliżu babci – cioci, wujka oraz trzymiesięcznej kuzynki, swojej imienniczki. Spędzała tam czas na zabawie z małą Tesią i podkradaniu cukierków z choinki. Świąteczną atmosferę przerwał jednak odgłos potężnego wybuchu...





Tereska! Idź po mamusię!

Tereska była przerażona, miała wrażenie, że pól Jelenia się zatrzęsło. Po chwili zobaczyła przez okno, że tuż pod domem w kierunku rozlewiska biegą ludzie. Najpierw przebiegła jedna grupa, a za nią następna i następna... Tłum wydawał się nie mieć końca. Prawdopodobnie nie było w Dębie i w okolicy domu, którego mieszkańcy nie rzuciliby wszystkiego, aby udać się w stronę, skąd dobiegł odgłos wybuchu. Dorośli doskonale pamiętali wojnę i nie mieli wątpliwości, co się wydarzyło...

Dziesięcioletnia Tereska jednak nie rozumiała tego, co zobaczyła. Wiedziała już, że był wybuch, ale nie miała pojęcia, co to znaczy. Gdy wracała do swojego domu, spotkała ciocię, która ją zapytała, gdzie jest mamusia i kazała jej iść do niej i powiedzieć, że Waldek chyba zginął... Ciekawość jednak nadal wiodła Tereskę w stronę rozlewisk, dokąd ciągle biegli kolejni mieszkańcy Jelenia. Co chwila jednak słyszała, jak ktoś do niej krzyczał: „Tereska! Idź po mamusię!”

Waldek nie żyje...

Było już późne popołudnie, nieprzyjemna zimowa szarówka, gdy Tereska zawróciła i brzegiem Przemszy zaczęła iść w stronę Łęgu, do rodziców. Szła, ale ciągle nie rozumiała, co się stało. Słyszała od ludzi, że Waldek nie żyje, ale była przekonana, że jeszcze kiedyś się zobaczą – że wróci z łyżew i zje obiad, który czeka na niego na gorącym piecu...

W małym domku państwa Kucielów przy ulicy Wandy Wasilewskiej pachniało ciastem i świątecznymi potrawami. W pokoju, na tle równo ustawionych na regale dzieł Lenina, stała strojna, obwieszona słodyczami i ozdobami choinka. Rodzinną atmosferę na chwilę zmącił głuchy, niezidentyfikowany odgłos dochodzący z drugiego końca wsi. Nie był to tylko dźwięk – równo poukładane na dekoracyjnej paterze kawałki ciasta nagle podskoczyły i upadły na podłogę. Zasiało to niepokój w głowach biesiadujących, ale przeszli nad tym do porządku dziennego.

Jakiś czas później w drzwiach pojawiła się Tereska, która powiedziała tylko trzy słowa: „Waldek nie żyje”. Po czym szybko wyszła na zewnątrz. Nie była już świadkiem tego, że po jej słowach mama zemdląca i osunęła się na podłogę... Dla wszystkich stało się jasne, co się wydarzyło i czym był ten głuchy dźwięk, który wstrząsnął całą wsią...





Bezsilność, rozpacz i wściekłość

Kleśnia

Mieszkańcy Jelenia, którzy dotarli w okolice Kleśni, zastali makabryczny widok. Na ziemi leżały kawałki ciał chłopców, którzy wybrali się tam na łyżwy. Ich szczątki zdejmowali także z gałęzi młodych drzew rosnących w pobliskim zagajniku.

Gdy na miejsce tragedii dotarł ojciec Waldka, znalazł już tylko pokawałkowane ciało syna. Na oddzielonych od ciała stopach wciąż były łyżwy. Ojciec ściągnął je i z impetem wyrzucił do Przemszy. W tym geście było wszystko – bezsilność, rozpacz, wściekłość na samego siebie, że synowi te łyżwy kupił...

Teresce bardzo było żal tych łyżew – inni takich nie mieli. To był nowoczesny model, godny pozazdroszczenia. Właśnie to zaprzętało jej głowę, gdy myślała o tym, że brat nie żyje, nie dotarła jeszcze do jej świadomości.





Paulina i Stanisław
Koryczanowie
z dziećmi. Na rękach
Ryszard, stoją
Waldemar i Teresa

Przyczyną tragedii był niewybuch znaleziony przez najstarszego z chłopaków – siedemnastoletniego Emanuela – który postanowił zdetonować znalezisko. Kilku z bawiących się tam chłopców wróciło już do domu, a ciekawscy zostali, bo chcieli zobaczyć eksplozję. Emanuel powiedział im, żeby odeszli na bezpieczną odległość. Przykucnęli więc za drzewkami w zagajniku, skąd mieli obserwować wybuch. Nic się jednak nie stało, dlatego Emanuel wyszedł, aby sprawdzić, co jest tego przyczyną. Pozostali chłopcy pobiegli za nim...

W wybuchu zginęło pięciu chłopaków: Waldemar Koryczan, Zenon Braska, Emanuel Lipka, Stanisław Wilkosz, Fryderyk Tosza.





Wspólny pogrzeb

Ciała chłopców można było zobaczyć w kostnicy przy jeleńskim cmentarzu. Czterech z nich było okrytych na tyle, że widoczne były tylko ich głowy, a Emanuel, który najbardziej ucierpiał, został cały okryty jasnym materiałem. Z kostnicy, w której były tłumy, niosły się jęki, szlochy i rozpaczliwe zawodzenia.

Na ich pogrzeb przyszli niemal wszyscy mieszkańcy Jelenia – tak długiego konduktu żałobnego chyba nigdy wcześniej i nigdy potem nie widziano. Chłopcy spoczęli we wspólnym grobie. Przez długie lata każdy, kto pamiętał te wydarzenia, gdy odwiedzał na cmentarzu swoich bliskich, palił też znicz na ich grobie. Mijały jednak lata i coraz mniej osób pamiętało tę historię... Grób został zlikwidowany, a szczątki chłopców przeniesiono do rodzinnych mogił.

Ta historia na długie lata zawładnęła wyobraźnią tych, którzy byli jej świadkami. Teresa, która była wówczas małą, zaledwie trzymiesięczną Tesią, do tej pory ma nieodparte wrażenie, że pamięta te wydarzenia – tak często o nich mówiono w domu, że wspomnienia rodziców traktuje jak własne.

Z każdej tragedii chcemy zawsze wyciągnąć coś dobrego – taka jest natura ludzka. Z tej, która wydarzyła się w Jeleniu w Dniu Świętego Szczepana, również. Pocieszano się, że dzięki niej nikt więcej już nie zginął, bo rodzice ostrzegali dzieci przed chodzeniem w to miejsce...

W późniejszych latach, co jakiś czas w zagajniku pojawiało się tymczasowe druczane ogrodzenie, za którym pracowali saperzy, ale nikt już tego miejsca nie odwiedzał...

Sama Kleśnia latem nadal, jak we wcześniejszych latach, rozbrzmiewała śmiechem odpoczywających tam dzieci i dorosłych.

Na podstawie wspomnień: Teresy Sędzik, Teresy Szkarłat, Wiktorii Czopek.





Rozdział II

PIŁKA NOŻNA, SZACHY, TEATR I KABARET, CZYLI KULTURA I SPORT W JELENIU

„Mroczne” – tak mówi się o latach pięćdziesiątych ubiegłego wieku. Po brutalnej wojnie, która pochłonęła wiele ofiar, nadeszły czasy stalinowskiego terroru. Czy w tej dusznej atmosferze ciągłego zagrożenia było miejsce na rozrywkę, radość i sztukę? Okazuje się, że tak! Mieszkańcy Jelenia byli bardzo spragnieni normalności. Już w rok po zakończeniu wojny aktywnie działająca w Jeleniu Polska Partia Socjalistyczna (PPS) zaczęła starania o postawienie baraku, w którym mogłyby się odbywać różne spotkania i imprezy. Działania zostały uwieńczone sukcesem, a barak stał się tętniącym życiem centrum kulturalnym. Tu młodzi ludzie rozwijali talenty, realizowali pasje, ale też nawiązywali przyjaźnie i się zakochiwali.

Barak kulturalny

Barak został oddany do użytku w Barbórkę – 4 grudnia 1946 roku. Fundatorami baraku były Organizacja Młodzieży Towarzystwa Uniwersytetu Robotniczego (OMTUR) i PPS oraz kopalnia Sobieski. Świetlicę nazwano imieniem Ignacego Daszyńskiego, który był wieloletnim członkiem i przewodniczącym Rady Naczelnej PPS-u, a także przewodniczącym Zarządu Głównego TUR.

Barak był czymś więcej niż „prowizorycznym budynkiem”, jak mówi słownikowa definicja. Niektórzy mieszkańcy Jelenia, pamiętający to miejsce,





protestują przeciwko nazywaniu go tym nieco pogardliwym określeniem. Jednak w większości wspomnień pojawia się właśnie słowo „barak”, bo tak właśnie nazywano to jeleńskie centrum kulturalne.

Zespół taneczny na
tle baraku, 1954 rok.

W baraku działało kino, swoją siedzibę miały też kluby: piłkarski i szachistów. Była scena, na której odbywały się przeróżne występy, a pod nią urządzono miejsce na orkiestrę. Funkcjonowała tam również biblioteka, a w piwniczce były szatnie dla sportowców. Odbywały się tam także barbórki, dożynki i zwykłe potańcówki.

Mieszkańcy Jelenia chętnie uczestniczyli także w tak zwanych muzykach, które organizowano w baraku. -Gdy w Jeleniu ktoś brał ślub, to goście weselni po ślubie i po obiedzie w domu młodych szli, z orkiestrą weselną na czele, do baraku na tańce. Tam zasiadali przy stołach, zaopatrzonych w weselne jedzenie i picie, a wzdłuż sali ustawione były siedzenia przygotowane dla gości. W samym końcu sali stała młodzież „nieweselna”, która też mogła się bawić. Po prawej stronie stały dziewczyny, a po lewej chłopcy. A siedzące pod ścianami babcie komentowały, jak kto jest ubrany i jak tańczy.





Zespół Ludowy
Świelicy ZZG
w Jeleniu, w tle
barak

I to była tak zwana muzyka – wspomina ten nieznany dziś zwyczaj Teresa Sędzik. Barak stał w pobliżu miejsca, gdzie teraz jest Dom Kultury, który go zastąpił. Do kina wchodziło się od strony obecnego sklepu Dino, a zaraz przy wejściu była kasa biletowa. W tym samym pomieszczeniu co kino była scena osłonięta kurtyną, na której odbywały się różne występy.

Murowane, ogólnodostępne ubikacje były na zewnątrz: z jednej strony dwie damskie, a z drugiej – męskie. Były to trochę lepsze sławojki, bo miały odpływ. Trzeba było do nich iść po piasku, bo nie było jeszcze bruku i do 1959 roku z Jaworzna była tylko droga bita.

Kino

Kino działało do lat sześćdziesiątych, a mieszkańcy Jelenia mogli oglądać na dużym ekranie prawdziwe hity kinematografii – zarówno europejskiej, jak i amerykańskiej. Wiele tytułów uleciało już z pamięci widzów, ale niektóre zapisały się w niej na trwałe.





Bywalcy jeleńskiego kina z zapartym tchem śledzili pościg rewolwerowca Lina McAdama za jego wrogiem Dutchem Henrym Brownem w nakręconym w 1950 roku westernie pod tytułem „Winchester ’73”. Wyświetlano też światowy przebój kinowy produkcji francuskiej – komedię przygodową „Fanfan Tulipan” z 1952 roku. Była to historia młodego, biednego i bardzo przystojnego chłopaka o imieniu Fanfan, który, uciekając przed małżeństwem, wstępuje do armii. Napotkana na drodze Cyganka przepowiada mu, że jeśli zaciągnie się do wojska, to pewnego dnia poślubi córkę króla...

Z dużym sentymentem jeleńskie kino wspomina także Teresa Sędzik, która odwiedzała je za każdym razem, gdy grano niezwykle popularną w tamtych latach radziecką komedię pod tytułem „Świat się śmieje”. Film opowiada historię pastuszka przygrywającego na fujarce swoim owieczkom, który w wyniku pomyłki zostaje uznany za słynnego dyrygenta.

Przed każdym seansem emitowana była Kronika Filmowa. Bileterem był mieszkaniec Jelenia Antoni Pluta.

Jeleńskie kino, które już dawno odeszło w zapomnienie, pozostaje żywe we wspomnieniach Jana Furmana:



Nad wejściem wisiała podświetlona żarówką puszczałka z napisem „Walter”. Zawsze byłem przekonany, że to była nazwa kina nadana na cześć generała Karola Świerczewskiego, który nosił taki pseudonim, ale nie mam co do tego pewności. Kino mieściło sto, a może sto pięćdziesiąt osób. Sufit podpierały filary, ale zostały tak ustawione, aby nikomu nie przeszkadzały w oglądaniu filmów. Z tyłu sali ustawiono piece, tradycyjne duże kozy z rurami, które zimą ogrzewały pomieszczenie.

Po ostatnim seansie wyjmowano krzesła, które były ze sobą połączone, a drewniane ławy ustawiano pod ścianą i sala kinowa zamieniała się w tańeczną. Do potańcówki trzeba też było w specjalny sposób przygotować podłogę: posypywano ją parafiną z utartej świeczki, żeby buty lepiej się ślizgały podczas tańca.

Większość produkowanych w tamtych czasach butów miała skórzane zelówki i trudno się w nich tańczyło na drewnianej podłodze. Po wielogodzinnej zabawie na parkiecie nie pozostawał żaden ślad po parafinie i przed kolejną potańcówką zabieg trzeba było powtarzać. Dużo par się pokojarzyło, na tych potańcówkach, bo przychodzili na nie przede wszystkim młodzi ludzie.





Teatr

Po wojnie mieszkańcy Jelenia wiedli spokojne życie, a większość czasu poświęcali na pracę, uprawę pola, hodowlę zwierząt i prowadzenie domu. Czasu na rozrywkę i doznania kulturalne nie było wiele. Wszystko jednak się zmieniło, gdy w Jeleniu zaczął działać teatr. Amatorska grupa teatralna na deskach baraku – i nie tylko – wystawiła wiele cieszących się powodzeniem sztuk. Grupę tworzyli przede wszystkim młodzi ludzie, jeszcze przed maturą, ale zdarzały się także rodzyнки w starszym wieku.

Do zespołu teatralnego należeli między innymi: Stanisław Rudzki, Edward Chmielewski, Antoni Larysz, Kazimierz Wilkosz, Zuzanna Siodłak, Tadeusz Kasperkiewicz, Maria Michalik, Kazimierz Banasik, Józef Banasik, Emil Banasik, Aleksandra Lipka i wielu innych¹. Teatr zaczął działalność od sztuki *Przyjaciele* i propagandowej jednoaktówki *RKV*. Gdy aktorzy nabyli już nieco doświadczenia i obyli się z deskami scenicznymi, lokalna społeczność mogła dzięki nim wzruszać się i śmiać na bardziej ambitnych sztukach. W jeleńskim baraku, ale też w Imielinie, Byczynie, Szczakowej czy w Chełmku zespół złożony z aktorów amatorów wystawiał między innymi takie sztuki jak: *Krowoderskie zuchy*, *Panna rekrutem*, *Figiel w pułapce*, *Grube ryby*, *Czekaj, ja wrócę*, *Wesele Jagny*, *Na ratunek*, *Damy i huzary*, *Dzielny wojak Szwejk*, *Pan Damazy*, *Imieniny pana dyrektora*, *Zrękowiny u Druzgały*, *Takie czasy* i inne dramaty, komedie czy wodewile. Były to sztuki znane, wystawiane na deskach wielu teatrów. Na tylnej stronie jednego ze zdjęć z występów jeleńskiego teatru ktoś napisał *Grzech Żeromski* – można jedynie snuć domysły, że było to przedstawienie oparte na wątkach powieści *Dzieje grzechu* wspomnianego autora.

Stroje na scenę aktorzy szyli sobie sami albo prosili o to zaprzyjaźnione krawcowe – często były to ich mamy, babcie czy ciocie. Scenografię również tworzyły prywatne rzeczy mieszkańców Jelenia.

Jedną z aktorek jeleńskiego teatru była Józefa Majewska (po mężu Omastka) zwana Izia. Imię Izabela wybrali dla niej rodzice, ale ksiądz się na nie nie zgodził. Izia zagrała tylko w jednym przedstawieniu – wielu mieszkańców Jelenia było przekonanych, że była to *Zemsta* Fredry, ale... tej sztuki nigdy jeleński teatr nie grał! Na deskach baraku wystawiano za to przedstawienie pod tytułem *Radcy pana radcy* na podstawie komedii Michała Bałuckiego. Izia zagrała w tej sztuce pannę Helenkę – córkę Dżiszewskich, z którą chciał

¹ Nazwiska aktorów i tytuły sztuk zostały zaczerpnięte z książki *Jeleń. VIII wieków historii* autorstwa Henryka Paszczy.





Aktorzy jeleńskiego
teatru

się ożenić przyjaciel domu, Zdzisław. Jednak na drodze stanął mu konkurent, bo w Helence kochał się także Karol, młody urzędnik. Gdy Izia grała w spektaklu, była tuż po maturze. Jej talent dostrzegł reżyser przedstawienia. Namawiał ją, aby spróbowała swoich sił i zdawała do szkoły teatralnej, ale dziewczyna nie zdecydowała się na ten krok – wyszła za męża, urodziła dwoje dzieci i przez całe życie pracowała w księgowości. Rodzina do tej pory odnosi jednak wrażenie, że Józefa wciąż żałuje tej decyzji zawodowej, bo z sentymentem do dziś wspomina czasy teatralne...

Z przedstawienia, w którym grała Izia, do dzisiaj przetrwało kilka zdjęć, na których można ją podziwiać w pięknej sukni uszytej specjalnie na potrzeby występów scenicznych. Czarno-białe fotografie nie oddają jednak pełni jej uroku. Suknia – uszyta z jedwabiu bądź satyny przez profesjonalną szwaczkę – była w kolorze biskupiego fioletu, który dziś nazywany jest fuksją. Po latach występowały w niej na szkolnych akademiach wnuczki Józefy. Jedna z nich została nauczycielką i prowadziła szkolny teatr, w którym suknia babci ponownie „zagrała”. Przechowywana była w szkole, gdzie któregoś dnia słuch o niej zaginął...





Józefa Omastka
(Izia) i Stanisław
Proksa

Historię Józefy Omastki (Izi) opowiedziała jej córka Urszula Czwienzek.

Jeleński Janko Muzykant

Epizod w teatrze miał także Jan Furman. Mały Janek był najmłodszym z aktorów. Występował już jako pięcioletni brzdąc, wcielając się w rolę swojego imiennika – Janka Muzykanta. Siedział na scenie z fujarką w zgrzebnej, się-





gającej kolan koszulinie z lnu, uszytej przez mamę, i w porteczkach z pizamy przewiązanych sznurkiem. Janek miał do powiedzenia tylko jedną krótką kwestię. Gdy dostawał cięgi za to, że ukradł skrzypki, krzyczał wniebogłosy: „Matulu! Matulu!”.

Janek rolę w przedstawieniu dostał dzięki temu, że w teatrze występowali jego starsi bracia – Stanisław i Kazimierz oraz siostra Władysława. Początki przygody z aktorstwem były dla niego stresujące, ale rodzeństwo dodawało mu odwagi. Zdarzało się, że podczas spektakli, które odbywały się zwykle późnym wieczorem, mały aktor przysypiał. Nigdy jednak nie przegapił swojej kwestii... A dlaczego?

W pewnym momencie w spektaklu rozlegały się odgłosy burzy. Stojący na scenie aktor uderzał w tym celu z całych sił kawałkiem drewna w nieocynkowaną blachę, co miało imitować grzmot. Dźwięk był tak głośny, że drzemiący Jasiu natychmiast się budził i wbiegał na scenę, wzywając na pomoc matulę.

Nie tylko Jeleń

Jeleńskich artystów na gościnne występy wożono ciężarówką z drewnianą budą, która na co dzień służyła do przewozu pracowników kopalni Sobieski. W środku były proste drewniane ławy i niewielkie okienka – luksus na miarę czasów.

Aktorzy amatorzy za swoją pracę nie dostawali ani grosza – nagrodą była dla nich już sama możliwość grania w teatrze. Poza imprezami kościelnymi, dożynkami czy barbórkami niewiele się w Jeleniu działo. Większość aktorów pracowała w kopalni Sobieski, ale był wśród nich też właściciel sklepu czy sędzia.

Ważną rolę podczas przedstawień grały też elementy scenografii – przedmioty czy meble pożyczane od mieszkańców Jelenia lub przez nich ofiarowane. Były to proste i skromne rzeczy – drewniane schodki, ławka, tapczan czy makatka. Spośród nich wyróżniał się jedynie zegar – drewniany, pięknie rzeźbiony, z kukułką. Jego uroda sprawiała, że był wykorzystywany w wielu przedstawieniach, ale któregoś dnia zaginął i do dzisiaj się nie odnalazł.

Na zaproszenie proboszcza z lokalnej parafii teatr wystąpił w Ciężkowicach. Nie można jednak było tam przyjechać z dowolnym repertuarem – musiał być wcześniej uzgodniony z proboszczem. Na przedstawienie z gorszącymi wątkami nie było w kościelnej salce miejsca!





W jasnej sukni
Zuzanna Siodlak
(po mężu Hibner)

Większość aktorów amatorów było chłoporobotnikami – ci, którzy skończyli już szkołę, pracowali na kopalni Sobieski albo w „Azotce”, w zakładach chemicznych. Ale, aby móc się utrzymać, trzeba było też mieć kawałek pola, hodować kury, gęsi czy świnię. Na zabawę w teatr był czas dopiero wieczorem. Być może każdy z aktorów w głębi duszy marzył o karierze, ale trzeba było mocno stąpać po ziemi. Tym, co pozostało aktorom jeleńskiego teatru, są z pewnością niezapomniane wspomnienia...





W teatrze nawiązywały się też relacje romantyczne, powstało kilka małżeństw. Teatr działał przez około dziesięć lat, a po kolejnych dziesięciu latach przerwy wznowił działalność.

Przedstawienie
„Cud mniemany,
czyli krakowiacy
i górale”.

Teatr na nowo

Teatr odrodził się pod koniec lat sześćdziesiątych ubiegłego wieku. Istniał już wówczas Dom Kultury w Jeleniu, więc próby odbywały się właśnie tam. Część zespołu tworzyli ci sami ludzie co wcześniej: Józef Guja i Antoni Larysz, Kazimierz Banasik, Wilkosz Kazimierz, Stanisław Furman – późniejszy naczelnik Jelenia, a do współpracy zaprosili młodszych. Byli to: Tadeusz Bożek, Władysław Dyląg, Maria Banasik, Władysław Kucharczyk, Henryk Paszcza i wielu innych. Od strony organizacyjnej teatrem zajmował się Stanisław Hacuś.

Swoją działalność odrodzony teatr rozpoczął od wystawienia wodewilu *Królowa Przedmieścia* autorstwa Konstantego Krumłowskiego. Następny był





wodewil Wojciecha Bogusławskiego *Cud mniemany, czyli Krakowiacy i Górale*. Ta ostatnia sztuka została już wyreżyserowana przez profesjonalistę.

– Pamiętam, jak graliśmy po raz pierwszy *Krakowiaków i Górali*. Wszyscy wiedzieliśmy, że nie jesteśmy w pełni przygotowani, ale decyzja zapadła. Na sali tłum ludzi, a my przez szparkę w kotarze patrzyliśmy, czy przyszedł ktoś ze znajomych, a serce podchodziło do gardła. To była trema! A potem, jak już w sumie zagraliśmy dwadzieścia parę razy (były też występy wyjazdowe), to człowiek wchodził na scenę i wszystkie ruchy już wykonywał z automatu – wspomina Henryk Paszcza, jeden z aktorów amatorów.

Reżyser z Krakowa

Teatr działał, zanim pojawił się reżyser, ale aktorzy, jak wspominają, przeżywali „męki pańskie”, próbując dojść do porozumienia i jednej wspólnej wizji artystycznej. Wtedy ktoś znalazł wyjście z tego impasu i zaproponował prowadzenie teatru krakowskiemu reżyserowi. Aktorzy jeleńskiej sceny pamiętają jedynie, że miał na nazwisko Rząsa. Prawdopodobnie był już emerytem, a wcześniej pracował w krakowskim Teatrze Słowackiego. Próby znalezienia przeze mnie w Internecie choćby najbardziej skąpych informacji na temat reżysera o tym (lub podobnym) nazwisku, spełzły jednak na niczym. Do czasu... Gdy już się pogodziłam z faktem, że reżyser pozostanie postacią anonimową, a książka była niemal ukończona, postanowiłam jeszcze raz skorzystać z internetowej wyszukiwarki. Tym razem zamiast „Rząsa” wpisałam „Rząca” i... chyba znalazłam! Informacje zawarte w artykule nie dają stuprocentowej pewności, że chodzi o tego reżysera, ale wiele na to wskazuje.

W tekście zatytułowanym „Ostatni plebejski teatr Krakowa”, który został opublikowany w Onecie, czytamy między innymi, że:



Osiemnaście sierpnia 1945r. (...) przy Bocheńskiej 7, z dala od polityki wielkiego świata, ale też na uboczu kulturalnej mapy Krakowa, premierą Ojcowizny Franciszka Domnika zapoczątkował działalność amatorski Teatr Kolejarza. Inicjatorami bezprecedensowego, jak się wkrótce miało okazać, przedsięwzięcia byli trzej miłośnicy teatru: Włodzimierz Rząca, Marian Zajączkowski i Władysław Drozdowski. Teatr otrzymał wsparcie artystyczne od Teatru Słowackiego, a wystawiał takie sztuki jak: Ludwika Turskiego (Krowoderskie zuchy, Wojna z babami, Czar munduru), Konstantego Krumłowskiego (Królowa przedmieścia,





Śluby dębnickie), Wojciecha Bogusławskiego (Krakowiacy i górale – uważana za pierwszą polską operę narodową), Michała Bałuckiego (Radcy pana radcy), Ryszarda Ruskowskiego (Wesele Fonsia, Jadzia wdowa). Ale także Gabrieli Zapolskiej, Lucjana Rydla czy Aleksandra Fredry”².

Teatr „po nowemu”
– lata 70.

W znaczącej części są to te same sztuki, w których grali jeleńscy aktorzy!

Pomysł „zatrudnienia” profesjonalnego reżysera wziął się także stąd, że pierwszy spektakl jeleńskiego teatru bardzo się spodobał publiczności. Była to jednak „zwykła amatorszczyzna”, jak twierdzą jego aktorzy, a apetyt na coraz lepszą i bardziej profesjonalną grę rósł.

Praca z reżyserem okazała się strzałem w dziesiątkę, ale początki nie były łatwe.

2 *D. Lis, Ostatni plebejski teatr Krakowa*, Onet [online], 1 maja 2011, <https://kultura.onet.pl/wiadomosci/ostatni-plebejski-teatr-krakowa/dzp483s> [dostęp: 6 lutego 2025].





– Och, ile było nerwów! On użył z nami, a my z nim. Stale zmieniał koncepcje! Już ustaliliśmy, jak coś gramy, a następnym razem on przyjeżdża i mówi: „Nie!”. Dla nas to było dziwne, że on tak zmienia zdanie, dopiero potem człowiek rozumiał, co on widział, co chciał osiągnąć. Nieraz się obruszaaliśmy na jego pomysły, uważaliśmy, że coś jest nieistotne, ale nie mieliśmy racji – tak współpracę z reżyserem wspomina Władysław Kucharczyk.

Jednym z tych, pozornie nieistotnych szczegółów, był sposób wychodzenia na scenę.

– Pamiętam, że wychodziłem nieraz pięć, sześć, a nawet siedem razy, bo reżyser krzyczał: „Nie tą nogą! Nie tak pochylony! Inaczej się obrócić! Z powrotem! Wrócić się! – opowiada Henryk Paszcza.

Odrodzony teatr zyskał też profesjonalnego scenografa. Na scenie można było zobaczyć nie tylko prywatne przedmioty przyniesione z domów, ale też stworzone na potrzeby przedstawień elementy scenografii. Podczas spektaklu *Cud mniemany*, czyli *Krakowiacy i Górale* pojawiała się między innymi koło młyńskie. Scenograf oceniał także stroje, w których aktorzy występowali na scenie – musiały przejść weryfikację i zyskać jego akceptację. W próbach brała też udział choreografka, która pomagała aktorom w pracy z ich własnym ciałem na scenie. Po zakończeniu przez teatr działalności koło młyńskie i inne elementy scenografii długo leżały na zapleczu Domu Kultury w Jeleniu.

Teatr po kilku latach wspaniałych, choć lokalnych, sukcesów naturalną kolejną rzecz przestał istnieć.

– Już tyle się nagraliśmy, że to nie miało racji bytu, a na wyjazdy już nie było pieniędzy. Ludzie się zaczęli wykruszać, szczególnie ci starsi, no i tak to się skończyło. Nie wiadomo kiedy i jak – tłumaczy Władysław Kucharczyk. Nie wszyscy jednak chcieli zrezygnować z przygody ze sztuką. Na fali popularności teatru powstał... kabaret.

Kabaret Wentylgumka

Kabaret nosił nazwę Wentylgumka. Założył go Jerzy Bilny, który pojawił się w Jeleniu nie wiadomo skąd – być może z Chrzanowa – i uchodził za dość tajemniczą postać. Nie był jednak typem urzędnika, którego ktoś rzucił na nieznanie mu wody, a raczej duchem artystycznym, mocno związanym z działalnością kulturalną.





Kabaret
Wentylgumka
– Jerzy Bilny
i Władysław
Kucharczyk

W Jeleniu poznał swoją przyszłą żonę, Marię. Kabaret nie miał na celu niko-
go dyskredytować, raczej w żartobliwy sposób komentował rzeczywistość,
zwłaszcza tę najbliższą. Pokazywał, co w Jeleniu można zmienić na lepsze.
Teksty też głównie pisał Jerzy Bilny – do dzisiejszych czasów przetrwał je-
den wytykający błędy Osiedlowej Rady Narodowej. Inspiracją do napisania
tego tekstu był stojący przy drodze – w pobliżu baraku, a potem Domu Kul-
tury – wychodek. Częstym widokiem byli piłkarze, którzy wybiegali z szat-
ni, aby przed meczem zdążyć jeszcze skorzystać z wc.



*W naszym Osiedlu przed mostem droga się rozwala,
Nie chodź po niej bracie nocą, trafisz do szpitala.
Wszyscy ludzie na to psioczą, każdy nad tym biada,
A wszystkiemu winien kto jest – osiedlowa rada.*

*Jeś w Jeleniu obiekt piękny niezwyklej natury,
Stoi sobie blisko przy Domu Kultury.
Tutaj myśl mi w głowie świta, którą sobie nucę,*

Może by go tak przerobić na muzeum wc.
Jedziem dalej pełnym gazem, naprzód mknie riebiata,
Aż tu nagle za zakrętem wpadamy na fiata,
Jak się potem okazało, pojazd ten był gratem,
Takim, co to wszystkie biegi wrzuca mu się batem.

Przyjechaliśmy na Tarkę, chcąc wypocząć teraz,
A tu bracie głośnik ryczy jak jasna cholera.
Z tej piosenki morał taki wyciągnijcie snadnie,
Człek do miasta się wybiera, a do dziury wpadnie.

Podczas występów ostatni wers czasem kabareciarze zmieniali na:



Że jak chcecie gdzieś wypocząć to najlepiej
Na występie kabaretu Wentylgumka.

Skecze i scenki przerywane były uderzeniem w bęben przez Władysława Kucharczyka, który tak wspomina tę przygodę:

Kabaret
Wentylgumka





– To wszystko było bardzo amatorskie, ale dawało mnóstwo radości. Widownię zawsze mieliśmy dużą, bo graliśmy podczas różnych uroczystości, więc siłą rzeczy ludzie byli. Ale chyba się podobało, bo dostawaliśmy duże brawa!

Kabaret
Wentylgumka

Kabaret Wentylgumka działał krótko – dał zaledwie kilka występów. Uświetnił między innymi jedną z barbórkowych imprez, akademię ku czci partii i dał jeden wyjazdowy występ gdzieś w okolicach Olkusza.

Dzieci do podziwiania, czyli utalentowane rodzeństwo Byrczków

Występy na barakowych deskach dla większości jeleńskich artystów były tylko odskocznią od codzienności, przerwą w obowiązkach czy krótką przygodą ze sztuką. Barak był też jednak pierwszym krokiem do wielkiej kariery. Tutaj jako dziecko występował słynny polski jazzman – Jan Byrczek, a towa-



rzyszyło mu jego równie utalentowane rodzeństwo.
Czas występów wspomina Janina Rzepecka, siostra Jana:

”

– Często występowałam z bratem w jeleńskim baraku na różnych uroczystościach środowiskowych, ale też w okolicznych miejscowościach, bo byliśmy wtedy takimi „dziećmi do podziwiania”, z powodu naszych umiejętności śpiewania i grania. Naukę gry, ja na skrzypcach, a mój brat na akordeonie, zaczęliśmy bardzo wcześnie, prywatnie u okolicznych muzyków w Byczynie i w Jaworznie. Było to marzenie naszego ojca, żebyśmy wszyscy byli muzykami. Było nas czworo rodzeństwa: Jan, Janina, Wiktor, Lucjan. To marzenie w jakiejś części się spełniło. Wiktor ukończył Średnią Szkołę Muzyczną w Krakowie w klasie fagotu oraz grał na trąbce, a Lucjan grał amatorsko na perkusji. Obaj byli muzykami w orkiestrze dętej Domu Kultury w Jeleniu.

Pierwszy z prawej
Wiktor Byrczek





Jan Byrczek

Edukacja muzyczna w Krakowie

– W 1949 rodzice zdecydowali się na wysłanie mnie i Janka do Krakowa, na dalszą naukę. Bezpośrednim powodem tej decyzji było wygranie przez nas olimpiady muzycznej organizowanej w Krakowie dla zdolnych muzycznie dzieci z prowincji. Zwycięstwo gwarantowało nam bezpłatny internat i naukę w Krakowie. Oboje z bratem ukończyliśmy Liceum Muzyczne im. Fryderyka Chopina w Krakowie. Byłam pierwszą jelenianką, która ukończyła wyższe studia. Dyplom Akademii Muzycznej im. Krzysztofa Pendereckiego w Krakowie zdobyłam w 1961 roku. Po studiach jeszcze trzy lata mieszkałam w Jeleniu z rodzicami. Wówczas uczyłam w jaworznickich szkołach, byłam instruktorką w Domu Kultury Kopalni „Kościuszkowa” i w zespole ludowym „Jelenianki” w Domu Kultury w Jeleniu – wspomina Janina.



LET'S SING AND PLAY

Polskie piosenki ludowe dla dzieci



Janina Rzepecka

Śpiewnik autorstwa
Janiny Rzepeckiej

Mali artyści

O tym, że muzyczne kariery rodzeństwa Byrczków nie są dziełem przypadku, a wynikiem niewątpliwego talentu popartego ciężką pracą, niech świadczy artykuł, który ukazał się w *Dzienniku Polskim* w czerwcu 1950 roku. Dziennikarz, który był świadkiem występów dzieciaków, napisał tak:



Gdzie się pojawią, gromadzi się zaraz wokół tłum ludzi. Byli pod Uniwersytetem, potem u wylotu Szewskiej, są teraz obok sadzawki – w najpiękniejszym punkcie plant. Dwaj chłopcy i dziewczynka – artyści – piszemy bez cudzysłowu. To wielkie słowo, bo chociaż Janeczka i Janek Byrczkowie oraz Antoś Skowronek nie przekroczyli w sumie 33 lat życia, ale ich talent, zapał i umiejętności można śmiało tym słowem określić. Wszyscy troje są uczniami Szkoły Muzycznej przy ul. Basztowej 8, a ponadto odbywają normalne „studia” w szkołach podstawowych. (...) Janeczka (...) gra na skrzypcach i śpiewa ucząc się – podobnie jak chłopcy – pod kierunkiem prof. St. Fabiańczyk. (...) A teraz



*właśnie, w to świąteczne przedpołudnie, występują na Plantach,
jako współuczestnicy zbiórki na Towarzystwo Burs i Stypendiów.
Uczą się i pracują społecznie. Będą z nich ludzie”³.*

Dalsze losy rodzeństwa

– Rok 1949 i nasz wyjazd z Jelenia był decydującym zwrotem w moim i mojego brata życiu. Nasz czas w Jeleniu się zakończył i już do niego nie wróciliśmy. Bywaliśmy tam tylko gośćmi. W 1965 roku zamieszkałam w Jaworznie, następnie od 1981 roku w Krakowie, gdzie przebywam do dzisiaj. Brat Jan mieszkał kolejno w Warszawie, Wiedniu, Nowym Jorku i w Krakowie. W Jeleniu bywaliśmy z bratem tylko gośćmi. Ja odwiedzałam dość często mamę, do jej śmierci w 2003 roku, a później brata Wiktora, aż do jego śmierci w 2018 roku.

Mam w Jeleniu nadal kuzynki – dwie Teresy, Marysię i Alę, z którymi się kontaktuję, gdy odwiedzam cmentarz w Jeleniu. Spoczywają tam moi rodzice, brat Wiktor i mój mąż Antoni Rzepecki, oraz inni członkowie dalszej rodziny i znajomi. Ja też mam tam swoje wybrane miejsce obok męża – kończy opowieść Janina.

Największą karierę z rodzeństwa zrobił Jan Byrczek, który na stałe zapisał się w historii polskiego jazzu...

Jan Byrczek (1936–2019)

Światowej sławy muzyk jazzowy kontrabasista, organizator i promotor polskiej muzyki jazzowej. Pomysłodawca i redaktor pism muzycznych: *Jazz Forum* (1965-1979), *Polish Music Forum* (1972), *Jazz World* (1977). Prezes Polskiej Federacji Jazzowej (Warszawa 1964), Prezes Europejskiej Federacji Jazzowej (Wiedeń 1972), Prezes Międzynarodowej Federacji Jazzowej (Nowy Jork 1977), twórca internetowej bazy informacji o muzyce jazzowej – *Jazz World Data Base*. Współzałożyciel (z pisarzem Jerzym Kosińskim) pierwszego w Polsce amerykańskiego banku Amerbank.

Jan Byrczek urodził się 23 czerwca 1936 w Chełmku. Matka Balbina z domu Kuciel (1911-2003) była rodowitą mieszkanką osiedla górniczego Jeleń, ojciec Antoni (1900-1977) pochodził z Jaworzna. Po zawarciu związku

3 *Artyści, Dziennik Polski* [online], 9 czerwca 1950, <http://old.mbc.malopolska.pl/dlibra/docmeta-data?id=8216&from=publication> [dostęp: 18 lutego 2025].





małżeńskiego w 1933 roku rodzice Jana Byrczka zamieszkali w Chełmku, a następnie w 1936 roku przeprowadzili się do swojego nowo wybudowanego domu w Jeleniu przy ulicy (kolejne zmiany nazwy tej ulicy) Słonecznej, Sonnenstrasse, Kościuszki i Omturowców. Jan Byrczek swoje wczesne lata dzieciństwa spędził w Jeleniu razem z rodzicami z trojgiem młodszego rodzeństwa: siostrą Janiną oraz braćmi Wiktorem i Lucjanem. Cała czwórka dzieci wykazywała zdolności muzyczne wspierane przez rodziców, którzy starali się zapewnić im naukę muzyki na różne dostępne wówczas sposoby jak: lekcje prywatne i kontakty z okolicznymi muzykami amatorami. W wyniku tych starań wszyscy opanowali umiejętność gry na instrumentach muzycznych, a troje z nich zdobyło w przyszłości zawodowe wykształcenie muzyczne.

Jan już w wieku pięciu lat grał na akordeonie i występował z dorosłymi muzykami w jeleńskim baraku. W 1949, gdy miał trzynaście lat, wziął udział w Konkursie Młodych Talentów w Krakowie i jako laureat otrzymał stypendium i bezpłatne miejsce zamieszkania w Krakowie, zdobywając tym możliwość kontynuacji nauki muzyki. Wyjechał do Krakowa i do Jelenia już nie wrócił.

W Krakowie uczęszczał nadal do ogólnokształcącej szkoły podstawowej od klasy siódmej, równocześnie kontynuując lekcje gry na akordeonie w podstawowej szkole muzycznej. W 1951 roku zdał egzamin do Liceum Muzycznego w Krakowie i uzyskał dyplom ukończenia w klasie kontrabasu w 1956 roku. W okresie licealnym zafascynował się muzyką jazzową i wraz z kolegami o podobnych zamiłowaniach – Romanem Dylągiem, Andrzejem Dąbrowskim, Andrzejem Pielą i Wojciechem Karolakiem – rozwijali swoje umiejętności w zespołowym graniu jazzu. W 1956 roku rozpoczął studia w Wyższej Szkole Muzycznej, które przerwał po dwóch latach z powodu licznych występów i wyjazdów zagranicznych z różnymi zespołami.

W roku 1958 wystąpił z Triem Krzysztofa Komedy na I Festiwalu Jazz Jamboree w Warszawie. Grał również w zespołach: Trio Andrzeja Trzaskowskiego, Kwartet Andrzeja Kurylewicza, Jazz Believers i Sekstet Jerzego Miliana. Razem z tymi zespołami wyjeżdżał na koncerty do Francji i Niemiec. W Paryżu uczestniczył w nagraniu muzyki filmowej Krzysztofa Komedy do filmu „Gruby i Chudy”.

Po roku 1960 z powodu nawracającego bólu rąk zrezygnował z grania na kontrabasie i zaczął działać jako popularyzator muzyki jazzowej. W 1961 roku odnowił i pobudził do życia Krakowski Klub Jazzowy „Helikon”,





we współpracy z Wiesławem Dymnym – artystą Kabaretu Piwnica pod Baranami.

W 1963 roku zawarł związek małżeński z Małgorzatą Dembowską i razem przenieśli się do Warszawy. Tam wkrótce objął funkcję przewodniczącego Polskiej Federacji Jazzowej (PFJ), przemianowanej później na Polskie Stowarzyszenie Jazzowe (PSJ).

W 1965 roku ukazał się pierwszy numer czasopisma *Jazz Forum*, którego był pomysłodawcą i redaktorem. Funkcję redaktora pełnił do 1979. W tym samym roku urodziła się w Warszawie córka Jana i Małgorzaty – Aleksandra.

Od 1972 roku przebywał z rodziną w Wiedniu, gdzie z ramienia PSJ powołał Europejską Federację Jazzową (EFJ), a następnie Międzynarodową Federację Jazzową (MFJ). Stworzył tam i redagował rocznik *Polish Music Forum* w języku angielskim informujący o całym życiu muzycznym w Polsce. W Wiedniu urodził się ich syn Tomasz.

W 1977 roku opuścił z rodziną Wiedeń i przeniósł się do biura w Nowym Jorku, wtedy też zmienił nazwę MFJ na Jazz World Society (JWS). W swojej nowej siedzibie nadal redagował *Jazz Forum* oraz nowsze pismo *Jazz World*.

W 1979 roku, z przyczyn od niego niezależnych, stracił funkcję redaktora *Jazz Forum* wydawanego w Warszawie i zdecydował się pozostać w USA, gdzie uzyskał podwójne obywatelstwo. W Ameryce stworzył internetową bazę danych o muzyce i muzykach jazzowych z całego świata – *Jazz World Data Base*.

W 1993 roku wrócił wraz z żoną do Warszawy, ale pogarszający się stan zdrowia uniemożliwił mu dalsze aktywne uczestniczenie w wydarzeniach muzycznych. W 2010 roku przeniósł się z żoną i córką Aleksandrą z Warszawy do Krakowa.

W 2016 roku Stowarzyszenie Jazzowe Melomani uhonorowało go nagrodą Grand Prix Jazz za całokształt działalności. Nagrodę odebrała w jego zastępstwie sławna piosenkarka jazzowa Urszula Dudziak. Zmarł w szpitalu w Myślenicach, 10 listopada 2019 roku w wieku osiemdziesięciu trzech lat. Został pochowany w Alei Zasłużonych Cmentarza Rakowickiego przy ul. Prandoty w Krakowie.





Janina Rzepecka

Urodziła się w Jeleniu 28 stycznia 1939 roku. W wieku sześciu lat rozpoczęła naukę w szkole podstawowej w Jeleniu. W 1949 roku, po ukończeniu czwartej klasy, wyjechała z Jelenia, by na życzenie rodziców kontynuować naukę w Krakowie. Tam zamieszkała w internacie i uczęszczała równocześnie do szkoły podstawowej i do szkoły muzycznej. W 1952 roku rozpoczęła naukę w Liceum Muzycznym im. Fryderyka Chopina, a następnie na wydziale pedagogicznym – dyrygowanie zespołem w Akademii Muzycznej im. Krzysztofa Pendereckiego, którą ukończyła w 1961 roku. W tym samym roku rozpoczęła pracę w Jaworznie jako instruktorka muzyczna w Zespole Pieśni Tańca Kopalni Jaworzno i nauczycielka w szkołach podstawowych (wychowanie muzyczne). Zamieszkała z rodzicami w Jeleniu, a następnie w Jaworznie.

W 1965 roku rozpoczęła pracę nauczycielki w szkołach muzycznych (w Chrzanowie, w Krakowie). W latach siedemdziesiątych była instruktorką w zespole ludowym „Jelenianki” w Domu Kultury w Jeleniu. W zawodzie nauczycielki muzyki przepracowała czterdzieści cztery lata. W 1981 roku, po wyjściu za mąż, przeniosła się do Krakowa, gdzie mieszka do dzisiaj.

Wydała drukiem dwa śpiewniki dla dzieci z polskimi piosenkami ludowymi i ich tłumaczeniami na angielski, z własnymi ilustracjami. Opracowała kilkadziesiąt miniatur muzyki klasycznej na zespoły szkolne. Jest autorką obrazów jako malarka amatorka.

Sportowe sukcesy

W skromnie urządzonym, pozbawionym zbędnych dekoracji, pokoju w oczu rzuca się zdjęcie zawieszone na ścianie obok drzwi. Uśmiechnięty, wyraźnie szczęśliwy piłkarz odbiera puchar z rąk mężczyzny w garniturze. Ten piłkarz to Andrzej Proksa i to jego pokój zdobi ta zrobiona przed laty fotografia. Mężczyzną z pucharem jest Jan Mitrega, wicepremier i minister górnictwa w latach siedemdziesiątych, który słynął ze swojego zamiłowania do sportu. Zdobyć pucharu Mitregi to jeden z największych sukcesów działającego w tamtych czasach w Jeleniu Klubu Sportowego Górnik Sobieski.

Początki klubów sportowych w Jeleniu sięgają jeszcze czasów przedwojennych, a piłka nożna nie była jedyną dyscypliną, jaką można było tu uprawiać.





Górnicy klub sportowy w Jeleniu założony został w 1933 roku i przez dwadzieścia lat nosił nazwę RKS Czarna Przemsza. Początkowo klub prowadził sekcje: lekkoatletyczną, tenisa stołowego, szachową i piłki nożnej. Później – z powodu braku hali sportowej i zabrania obiektu sportowego pod budowę Szkoły Podstawowej nr 2 – pozostała tylko sekcja piłki nożnej.

Drużyna Górnik
Sobieski. Andrzej
„Broda” Proksa stoi
czwarty od lewej.

Organizatorem i pierwszym prezesem KS Czarna Przemsza był Maksymilian Dyląg. Początkowo klub ten liczył trzydziestu członków, a drużyna piłki nożnej należała do B klasy. Mecze rozgrywane były w Łęgu (na przyłogach) z drużynami z Niedzielisk, z Krzeszowic i z klubami z Chrzanowa (Fablok), ze Szczakowej, z Dzieńkowic i z Jęzora.

Przez kolejne trzydzieści lat nazwy klubu się zmieniały. Najpierw był to LZS Czarna Przemsza, następnie LKS Jeleń, a ostatecznie drużyna została nazwana KS Górnik Sobieski. Prezesami do chwili połączenia, 11 lutego 1973 roku, klubów KS Górnik Sobieski i GKS „Victoria” w Jaworznie byli: Maksymilian Dyląg, Stanisław Rudzki, Władysław Dyląg, Emil Banasik, Kazimierz Wilkosz, Mirosław Noszczyk, Kazimierz Wilkosz, Tadeusz Omastka.



Drużyna Górnik Sobieski. Andrzej „Broda” Proksa stoi czwarty od lewej.

Konieczność połączenia tych dwóch klubów wynikała z konsolidacji 1 stycznia 1973 roku kopalni Sobieski z Jelenia i kopalni Jaworzno. Spotkanie w tej sprawie zorganizowano w jeleńskim Domu Kultury. Oprócz działaczy i sportowców ks Górnik Sobieski, pojawili się na nim: przedstawiciele kopalni Jaworzno i GKS Victoria, mgr inż. Stanisław Szewczyk (honorowy prezes ks Górnik), mgr inż. Wiktor Trębacz i Henryk Mrącz (sekretarz GKS „Victoria”).

W chwili połączenia na terenie Jelenia działały cztery drużyny piłkarskie należące do klasy A i B juniorów i trampkarzy oraz sekcja łucznicza, a do nowych władz sportowych z Jelenia dołączyli: Tadeusz Omastka, Kazimierz Wilkosz i Bronisław Boba (członkowie prezydium zarządu) oraz Józef Hezner i Józef Guja (członkowie zarządu).

Siedzibą sekcji w Jeleniu była nowo wybudowana hala sportowa. Mecze piłkarskie rozgrywano na boisku znajdującym się między Domem Kultury a Szkołą Podstawową nr 2.



Z chwilą połączenia zamyka się pewien rozdział historii klubu, który na przestrzeni XXX lat PRL służył społeczeństwu Jelenia,



Nagroda w turnieju
piłkarskim

dając niejednokrotnie godziwą rozrywkę nie tylko dla kibiców sportowych ks „Górnik” w Jeleniu, ale spełniał rolę wychowawczą dla młodzieży”⁴.

Puchar Mitręgi dla drużyny z Jelenia

Zdobycie ufundowanego przez ministra Mitręgę pucharu było dla młodych piłkarzy prawdziwym sukcesem! W roku 1972 udało się to drużynie z Jelenia. Rozgrywki piłkarskie przeprowadzone zostały z okazji Dni Ziemi Chrzanowskiej. W eliminacjach Górnik Sobieski pokonał wówczas drużynę Górnika Sierszy i ks Chelmek (obie drużyny były z ligi okręgowej), a w finale wygrał z TS-em Fablok (liga międzywojewódzka).

Wymarzony puchar przechodni na rok 1972-73 Andrzej Proksa, szczęśliwy kapitan jeleńskiej drużyny, odebrał dokładnie 11 czerwca 1972 roku. Trenerem drużyny był wówczas Władysław Rogosz, prezesem – Tadeusz Omastka, a honorowym prezesem – dyrektor kopalni Sobieski Wiktor Trębacz.

⁴ Kronika Miasta Jeleń.



Dedykacja dla
Andrzeja Proksy



Andrzej Proksa o tamtych czasach opowiada w oszczędnych słowach – tak jakby wspomnienia były zbyt piękne, by je przywoływać. Zdjęcie wiszące na ścianie nie jest jednak jedyną pamiątką piłkarskich sukcesów. Na regale stoi dzieło autorstwa Józefa Hałysa pod tytułem *Polska piłka nożna*. Książkę, za zdobycie pucharu od Rady Robotniczej kopalni Sobieski otrzymał każdy z piłkarzy zwycięskiej drużyny.

Podczas mojego spotkania z byłym piłkarzem spomiędzy kartek książki wypadł plik zdjęć. Były tam fotografie z pochodzącego pierwszomajowego, w którym brał udział klub, całej drużyny robione po meczach, a także z obozu sportowego, który dla piłkarzy zorganizowała w Świeradowie kopalnia Sobieski.

Andrzej Proksa miał pseudonim Broda ze względu na noszony przez niego zarost. Przez pewien czas był kapitanem drużyny i grał na pozycji stopera. Lata swojej piłkarskiej kariery podsumowuje krótko:

– Już jestem trzydzieści lat na emeryturze i niewiele pamiętam z tych czasów, ale fajnie było...



Do najlepszych wspomnień Andrzej Proksa zalicza zdobycie pucharu Mitręgi, wyjazdy na mecze do Krakowa w co drugą niedzielę czy zwycięstwo nad Górnikiem Beskid dwa do zera.

Wręczenie pucharu
Mitręgi





Rozdział III

WOJENNE OPOWIEŚCI

W każdej rodzinie, która przeżyła wojnę, są wspomnienia związane z tym okrutnym czasem. I są to obrazy, które pozostają żywe przez całe życie – czasem przekazywane kolejnym pokoleniom, innym razem przemilczane, zepchnięte gdzieś w głąb podświadomości. Opowieściom wojennym pewnie można by poświęcić osobną książkę, ale niech tych kilka wystarczy za wszystkie przemilczane...

Janina Rzepecka

Kilka wojennych obrazków

Występy na barakowej scenie to nie jedyne wspomnienia Janiny Rzepeckiej z dzieciństwa, które przypadło na czasy wojny.

Urodziłam się w Jeleniu w 1939 roku jako drugie dziecko moich rodziców, brat Janek urodził się trzy lata przede mną. Nasz ojciec przed wojną wrócił z Francji, gdzie pracował i gdzie już wtedy przepowiadano wybuch wojny i wypraszano cudzoziemców. Wojnę pamiętam z kilku obrazków, które utkwiły w mojej pamięci dziecka. Nalot i modlących się na kolanach sąsiadów zebranych w jednym pokoju. Mojego ojca biegnącego po schodach ze





Janina Rzepecka
w dzieciństwie

mną na rękach, żeby bezpiecznie ukryć mnie w piwnicy. Zastrzelenie Bubi-ka, psa sąsiadów, w czasie nocnych przemarszów wojska. Wiadomość, że na środku głównej drogi leży zastrzelony koń i ludzie tną go na kawałki, żeby mieć mięso. Pamiętam również na naszej ulicy samochody z „dobrymi” Niemcami, którym nosiłam gruszki w zamian za dropsy. Przemarsz wojsk radzieckich główną drogą od strony Dębu i wiele innych scen, dla mnie, jako dziecka, zawsze ciekawych i często niezrozumiałych.

Zabawa i kontakt z naturą

Moje dzieciństwo w Jeleniu było tym, czego teraz dzieci prawie nie znają: swobodą, nieustannym kontaktem z naturą, kwiatami, ziołami (babcia była





Z księdzem Janem
Sulińskim. Janina
w środku.

zielarką), ptakami i innymi zwierzętami. Okoliczne lasy, pastwiska i łąki, zwłaszcza łąki, to był mój świat! Był to też czas na wspólne zabawy wymyślane na poczekaniu i na spełnianie różnych drobnych domowych obowiązków. Miałam dwóch młodszych braci. Mama była krawcową, więc igła nie była mi obca. Prosto z ulicy, przy której stał nasz dom rodzinny, biegałam na łąki w kierunku Przemszy ścieżką obok stodoły na niewielkiej górze porośniętej pachnącą macierzanką, pełną rojących się pszczoł. Często tam się zatrzymywałam z koleżanką, by wygrzać się w słońcu.





Tarka – miejsce wytchnienia

Po prawej stronie był taki mokry dołek z kaczeńcami i niezapominajkami, miejsce to pozostanie na zawsze w mojej pamięci... Wzdłuż Przemszy do Kamionki prowadziła ścieżka, po której w niedziele często spacerowały mamy z wózkami, dorośli i dzieci. Po lewej stronie były pola, lasek i staw zwany Kleśnią, gdzie dzieci chodziły się kąpać. Przemsza nie była uregulowana i można było w lecie przejść na drugą stronę, gdzie w lasach rosły jagody, na które chodziły grupy dzieci pod opieką jakiejś osoby dorosłej.

Przy ulicy Wygoda był staw, który w zimie zamarzał. Dalej, gdy się szło w kierunku Tarki, mijało się po prawej stronie drogi wielką topolę, która dawała przyjazny cień w czasie upału. Było to częste miejsce przystanku i odpoczynku. Tarka była miejscem wytchnienia dla mieszkańców i spotkań towarzyskich. Chodziło się tam całymi rodzinami, z własnym kocem i prowiantem.

Pamiętam, że ja z moimi braćmi chodziłam na jagody na Tarkę za zgodą rodziców, pod opieką kobiety, do której mówiliśmy „ciociu”, ale nie wiem, czy nią była. Mieszkała po drugiej stronie pastwiska, przy ulicy, która prowadziła do Okrągła. Na Tarkę chodziło się zwykle po niedzielnym obiedzie. Spokojnym spacerem, kilka kilometrów, wędrowały tam całe rodziny z rozbawionymi dziećmi. Lubiłam te spacer, bo woda, las i zabawy na trawie z koleżankami, to było to, co wtedy dawało mi radość.

Szkolne czasy

Gdy miałam sześć lat, rozpoczęłam naukę w szkole podstawowej. Już umiałam pisać i czytać, bo sama uczyłam się tego z zeszytów starszego brata. Nauka w szkole cieszyła mnie i nie sprawiała mi trudności. Kierownikiem szkoły był wtedy Józef Szlagor. Religii uczył ksiądz proboszcz Jan Suliński, który lubił się z moim ojcem i czasem nas odwiedzał, aby posłuchać, jak mój brat grał na akordeonie. Ja wtedy śpiewałam różne żołnierskie piosenki.

Do Pierwszej Komunii Świętej przystąpiłam w trzeciej klasie. Pamiętam, że śniadanie pokomunijne składało się z kubka kakao i bułeczki z masłem.

W klasie miałam dobre koleżanki: Danusię Larysz, Irkę Karwetę, Alinę Knapik i wiele innych... W czasie prawie półgodzinnej drogi do szkoły i z powrotem mogłyśmy się pośmiać, poopowiadać nowiny i szkolne ploteczki. Droga nam się nie dłużyła.





W szkole panie Klockówna i Baderowa prowadziły teatrzyki, w których brałam udział, bo umiałam ładnie śpiewać i odgrywać różne role. Mąż pani Baderowej malował piękne dekoracje i szył stroje do tych przedstawień. Pamiętam też, że w tamtych czasach nauczyciele często wyręczali się uczniami, którzy dobrze się uczyli. Ja na przykład bawiłam synka pani Baderowej – Bogusia – w czasie lekcji, spacerując z wózkiem „po wsi”, jak się wtedy mówiło. Nawet to lubiłam.

Po ukończeniu czwartej klasy, w 1949 roku, wyjechałam z bratem do internatu i szkół w Krakowie. Moje radosne dzieciństwo w Jeleniu, w domu rodzinnym, wśród koleżanek i znajomego otoczenia zakończyło się. Zawsze będę pamiętała piosenkę, którą śpiewałam wtedy w teatrzyku szkolnym, przebrana za motyla: „Radosna chwila! Nie goń motyla! Nie goń motyla!”

Jan Furman

Śmierć, która przyszła zza Przemszy

Znam tę historię z opowieści mamy, Władysławy Furman. Był to rok 1945 i Niemcy już w większości wycofali się za Przemszę, ale część dopiero nadjeżdżała.

Dom, który stał na naszej posesji, miał piwnicę, bo on był już murowany, choć wszystkie domy wkoło, ja jeszcze to pamiętam, były drewniane. Parę rodzin przyszło do rodziców schować się do tych piwnic, bo straszili, że razem z Niemcami wracają Ukraińcy, którzy wzbudzali ogromny lęk i ludzie byli przerażeni. W nocy rzeczywiście podjechał jakiś samochód, tu na ulicę, która wtedy nazywała się Słoneczna, potem nazywała się Kościuszki, a teraz Omturowców. Do piwnicy docierały jakieś głosy: niemiecki szwargot, słychać było kroki, więc wszyscy starali się być cicho, aż z emocji i ze zmęczenia zasnęli. Nagle obudził ich straszny rumor dochodzący z domu! Wspólnie postanowili, że to kobieta wyjdzie z piwnicy, żeby sprawdzić, co się dzieje, bo mężczyzn od razu zabijali. Wychyliła się mama i zobaczyła, że w domu stoi jakiś mężczyzna z karabinem. To byli Sowieci, którzy plądrowali pokoje. Ten żołnierz podszedł do okienka, ale mama mu powiedziała, że za Przemszą są Niemcy i mogą go zobaczyć. W nocy żołnierze opuścili dom... Po wyjściu z piwnicy mama spotkała w ogródku wystraszonego chłopaka, który mógł mieć siedemnaście, osiemnaście lat. Ubrany był w niemiecki mundur. Gdy ją zobaczył, to co sił w nogach zaczął uciekać w stronę Przemszy. Był w połowie drogi do rzeki, gdy Niemcy go zastrzelili... Oni wtedy strzelali do swoich, którzy dezertowali.





Tego samego dnia wydarzyła się kolejna tragedia. Niemcy zza Przemszy ciągle obserwowali, co się dzieje we wsi. Po podwórku chodził nasz sąsiad w roboczym ubraniu w kolorze zieleni. Za każdym razem, gdy pojawiał się przed domem, rozlegały się strzały. Nie mógł zrozumieć, dlaczego tak się dzieje, nie domyślił się, że z daleka jego ubiór mógł wyglądać jak mundur. Krzątającego się po podwórku tatę obserwował przez otwarte okno jego kilkuletni syn, który siedział z łokciami opartymi na parapecie i co jakiś czas wychylał głowę. Chłopiec dostał kulą w czoło. Żył jeszcze przez dwa dni. Był to najstarszy syn naszych sąsiadów.

Nowe życie przedmiotów

Po wojnie w jeleńskich lasach, zagajnikach czy nad Przemszą znajdowano wiele przedmiotów pozostawionych przez żołnierzy. Porzucone przez radzieckie wojska mosiężne łuski armatnie przerabiano na czopuchy, czyli wloty do kominów. Puste skrzynki na taśmy z nabojami także zyskiwały drugie życie. Taką skrzynię, z niemieckimi napisami, w swojej pracy wykorzystywał mój tata, który wykonywał prace szewskie. Wszystkie swoje kołeczki, młoteczki, kawałki skóry trzymał właśnie tam. To były porządne skrzynki, pięknie wykonane, z zaczepami. Wszystko to było znalezione nad Przemszą. Oryginalnie służyły żołnierzom do przechowywania taśm z nabojami, a jak je zużyli, to skrzynia była im niepotrzebna i ją wyrzucali. Po pierwszej wojnie światowej z kolei, jak była tu granica między Austrią a Prusami, to niemieccy żołnierze mieli plecaki robione ze skóry, chyba jeleniej, z taką rudą sierścią. Moja mama miała w maszynie do szycia pedał wyłożony taką skórą. Zastanawiałem się, skąd to jest. Powiedziała mi wtedy, że to było z tornistra jednego z żołnierzy. Ludzie, jak znaleźli takie rzeczy, to je wykorzystywali w gospodarstwie. Hełmy na przykład służyły kurom jako poidelka.

Henryk Paszcza

Dom przy rynku, czyli historia z happy endem

Gdyby budynki potrafiły mówić, o Jeleniu powstałaby ogromna liczba książek. Wiele z nich bowiem było świadkami wydarzeń, które miały znaczący wpływ na historię tego miejsca albo przynajmniej są warte opowiedzenia. Jednym z takich budynków jest dom mieszczący się przy ulicy Rynek 10. Jego historię opowiedział Henryk Paszcza.





Dom przy rynku.
Zdjęcie z lat 30.
ubiegłego wieku

Dom ten kojarzą chyba wszyscy mieszkańcy Jelenia, od niepamiętnych czasów stoi w bezpośrednim sąsiedztwie zabytkowej studni. Dokumenty, które potwierdzałyby rok jego budowy, gdzieś zaginęły. Góra domu wykonana została z cegły, a dół i fundamenty z kamienia. Dach pokryty został eternitem. Wiadomo, że został wybudowany przez Rudolfa Żurawika i jego żonę Cecylię. Dom powstał prawdopodobnie w miejsce innego, stojącego tam wcześniej, budynku – świadczy o tym stara kamienna piwnica o półkulistym sklepieniu. Przed wojną Rudolf Żurawik był rzeźnikiem i masarzem. W okresie międzywojennym razem z żoną prowadził własną ubojnię i sklep mięsny, który mieścił się właśnie w tym domu. Dokumentuje to fotografia budynku z 1931 roku z szyldem „Rudolf Żurawik masarz i rzeźnik” Z tamtych czasów, przez długie powojenne lata, przetrwał zeszyt, w którym prowadzili buchalterię i notowali, kto ile kupował, kto wziął na kredyt i tym podobne zapiski. Zeszyt ten jednak zaginął.

Losy domu podczas wojny

Podczas wojny dom przejęli Niemcy. Mieszkające tam wraz z dziećmi małżeństwo Żurawików postanowiło opuścić dom, gdy nadciągał niemiecki front.



Załadowali cały swój dobytek na wóz konny, który mieli, i razem z rodziną Plutów uciekli przed okupantami. Doszli pod Częstochowę, gdzie spotkali sąsiada z Jelenia, Szymona Proksę, który był wtedy żołnierzem. To spotkanie sprawiło, że przestali uciekać... „Co wy tu robicie?” – zapytał ich Proksa i za chwilę polecił: „Wracajcie do domu, bo Niemcy ludności cywilnej nic nie robią”. No i wrócili, ale ich dom tylko z zewnątrz wyglądał jak dawniej. W środku nie było nic, żadnych mebli, sprzętów, wszystko zostało wyszabrowane. Rodzina mogła jednak liczyć na pomoc sąsiadów, którzy podzielili się z nią tym, co mieli. Jedni podarowali łóżko, inni szafkę i tym sposobem powoli urządzili się na nowo. Gdy do Jelenia dotarli Niemcy, zajęli górę domu, a Żurawikowie mieszkali na dole. To sąsiedztwo wyszło im jednak na dobre. Któregoś dnia gruchnęła wieść, że młode dziewczyny będą wywożone do Rzeszy. Jeden z mieszkających w domu Niemców naprawiał właśnie rower, gdy spotkał Cecylię Żurawikową i powiedział: „Matko⁵! Jutro będziemy zbierać i wywozić do Niemiec dziewczyny, niech się Staszka gdzieś ukryje”. Dzięki temu ostrzeżeniu córka Rudolfa i Cecylii uniknęła losu wielu jej rówieśniczek i została w Jeleniu. W czasie okupacji w piwnicach budynku mieściło się przejściowe więzienie, po którym pozostały jeszcze uchwyty zamocowane w ścianach.

Nowe życie domu

Podczas wyzwolenia Jelenia dom został ostrzelany i pozbawiony połowy dachu, który został naprawiony dopiero po wojnie. Mieszkający w nim Niemcy wyposażyli dom we wszystkie możliwe instalacje, również telefoniczne. Dlatego po wojnie powstała w nim poczta, której kierownikiem został spotkany przez Żurawików pod Częstochową Szymon Proksa. Wcześniej, gdy w Jeleniu nie było telefonów, a trzeba było pilnie na przykład wezwać lekarza, to zdarzało się, że ktoś wchodził na słup elektryczny i znajdujące się na nim kable podłączał do aparatu telefonicznego.

Jeden z niemieckich komendantów, który zajął dom podczas wojny, wrócił do Jelenia po kilku latach, aby dowiedzieć się, jak się ma dom, a przede wszystkim jego mieszkańcy.

Dom przy ulicy Rynek 10 stał się po wojnie centrum usług wszelakich. Oprócz poczty mieściły się w nim także liczne sklepy i zakłady rzemieślnicze.

W latach 1950–1970 funkcjonował w budynku sklep mięsny prowadzony przez Gminną Spółdzielnię. Za ladą tego sklepu stał przez długie lata, aż do

5 Matką Niemcy mieszkający w domu Żurawskich nazywali Cecylię Żurawską – przyp. autor.





jego likwidacji, Stanisław Lipka. Zakład krawiecki prowadzili bracia Tadeusz i Rudolf Żurawikowie, spokrewnieni z właścicielami budynku. Było to tak zwane krawiectwo ciężkie, czyli szycie spodni, marynarek, garniturów czy garsoniek. Zakład fryzjerski prowadziła początkowo Zofia Olej (z domu Karweta), a później Grażyna Karweta z Jazdu za Przemszą. Zakład szewski to była domena pana Biela, mieszkańca Chrzanowa, lecz pochodzącego z Jelenia. Naprawiając, czy wykonując nowe buty, umilał sobie czas śpiewem, stukając młotkiem w rytm przyśpiewek. Jedna z nich brzmiała następująco:



*Wszystkie się żyłka zaziele niły, moja pszenisia nie wschodzi,
miałam kochanka Dylągę Franka, ale już do mnie nie chodzi.*

Po wyprowadzce poczty do nowej siedziby przy ulicy Zwycięstwa w lokalu po niej uruchomiono z kolei sklep rybny, a w późniejszym czasie – sklep z firankami.

Tak liczne sklepy i lokale usługowe w budynku umieszczone na parterze kuśliły włamywaczy – amatorów łatwych zarobków. Niejednokrotnie odnotowywane były próby włamania się do budynku. Pewnego dnia wyważono już nawet drzwi główne, lecz czujność właścicieli odstraszyła złoczyńców.

Powojenna działalność Rudolfa Żurawika

Rudolf Żurawik po wojnie nie porzucił zupełnie swojej profesji – masarstwa i rzeźnictwa. Oddawał się jej ze swoim zięciem Czesławem Paszczą, także mistrzem masarskim. Razem prowadzili ubojnię zlokalizowaną w piwnicach budynku. Jeleń miał bowiem status osiedla robotniczo-chłopskiego. W wielu gospodarstwach prowadzona była hodowla trzody chlewnej. Krowy wypędzane były z rana z przydomowych zagród i przez cały Jeleń, głównymi drogami, pędzono je na pastwiska do Okrągła pod las. Wieczorem wracały do swych zagród. Większość tych krów kończyło żywot w rzeźni u Rudolfa Żurawika, gdzie były ubijane na mięso, które po badaniu weterynaryjnym sprzedawano miejscowej ludności.

W tamtym okresie także pobliskie kopalnie prowadziły oddziały gospodarcze. Hodowano w nich między innymi świnie. I one także były ubijane w jeleńskiej rzeźni. Wyprodukowane z nich wyroby mięsne zasilają lokalne zakładowe stołówki. O działalności tej świadczą pozostałe w budynku wyciągi do powieszania ubitych zwierząt, jak i duże dębowe stoły służące za lady.





Nie kończy się na tym historia budynku. Od dziesiątek lat, na jego frontonie, budowany jest jeden z ołtarzy Bożego Ciała. Za jego przygotowanie odpowiadała początkowo rodzina Żurawików, a później rodzina Paszczów wraz z mieszkańcami okolicznych ulic. I tak to trwa nieprzerwanie do dzisiaj.



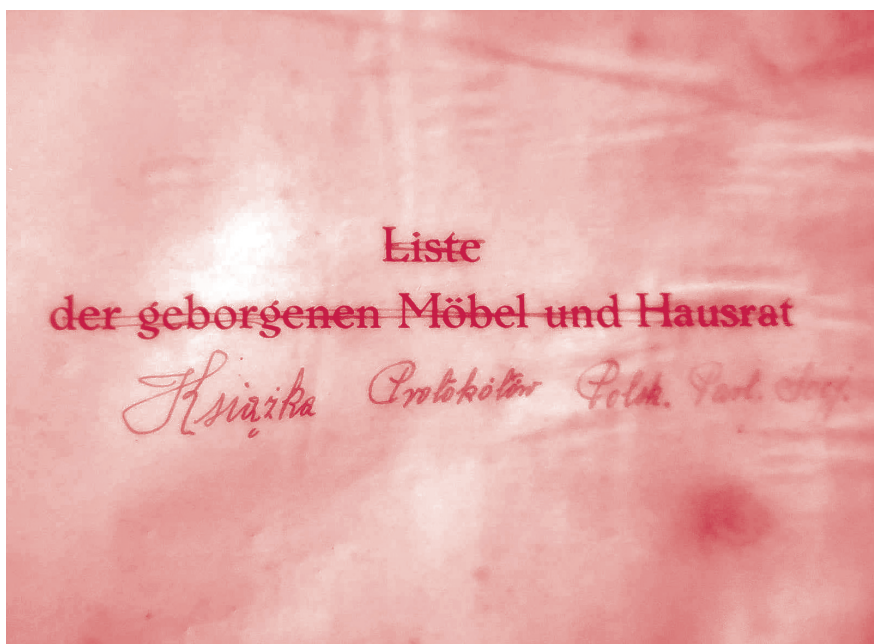


Rozdział IV

PROTOKOŁY PARTII PPS, CZYLI JELEŃ POWOJENNY

Po drugiej wojnie światowej partia PPS prężnie działała w Jeleniu. Pewnie niewiele wiedzielibyśmy o tym, czym się zajmowała i na czym polegała jej działalność, gdyby nie pewne znalezisko...

Pierwsza strona
książki protokołów





Przez wiele lat, a nawet dziesięcioleci, na strychu domu w Jeleniu przy ulicy, która obecnie nosi nazwę Omturowców, leżała w zapomnieniu *Książka Protokołów Polskiej Partii Socjalistycznej*. Przykryte grubą warstwą kurzu, połówki i z ubytkami papieru dzieło znalazł Jan Furman, wnuk jednego z omturowców. Na pierwszej stronie książki widnieje wydrukowany w języku niemieckim napis – *Liste der geborgenen Mobel und Hausrat*, co tłumaczy się jako *Wykaz odzyskanych mebli i artykułów gospodarstwa domowego*. Napis ten został jednak przekreślony i ktoś starannym pismem przy użyciu wiecznego pióra napisał pod nim *Książka Protokołów Polskiej Partii Socjalistycznej*.

Książka zawiera protokoły z zebrań członków partii odbywających się w Jeleniu od 4 lutego 1945 roku do 30 października 1948 roku. Protokoły były pisane przez różnych działaczy PPS-u, o czym świadczy styl tekstu oraz charakter pisma – niektóre z protokołów są trudne do odczytania.

Minuta cisza, wybór zarządu i urażone ambicje

Pierwsze poufne spotkanie, które odbyło się „w mieszkaniu towarzysza Furmana Władysława” zaczęło się bardzo uroczyście. Zostało ono zorganizowane tuż po wyzwoleniu Jelenia spod okupacji niemieckiej, dlatego zebrani postanowili „uczcić pamięć tych, którzy pragnęli doczekać się wolności przez powstanie i jedną minutę milczenia”.

Podczas spotkania wybrano także zarząd – jednogłośnie przewodniczącym został Władysław Banasik. Cieszył się on dużym zaufaniem wśród członków organizacji, która postawiła sobie za cel „przyjmować w swoje szeregi ludzi nieskazitelnie czystych”. Nie zawsze jednak udawało się to zrealizować...

Zaufanie partii szybko stracił towarzysz Adamczyk, który nie został w protokole wymieniony z imienia. A miało to związek z materiałem na szturmówki, który partia miała otrzymać od komitetu okręgowego. Materiał ten trafił do rąk wspomnianego towarzysza Adamczyka. Po kilku miesiącach od tego wydarzenia na spotkaniu partii poruszono tę sprawę i zapytano wyżej wspomnianego, gdzie znajduje się materiał i dlaczego nie został on oddany partii. Na zadane pytania „tow. Adamczyk daje odpowiedzi niejasne i wymijające chcąc się usprawiedliwić, wskutek czego naraził się na ostre zarzuty ze strony członków na takie postępowanie. Tow. Adamczyk stara się usprawić⁶ unosząc

6 Prawdopodobnie miało być „usprawiedliwić” – przyp. autor.





się gniewem, a na zapytanie tow. Banasika dlaczego tak długo szturmówkę przetrzymywał nie odpowiedział nic”. Po kolejnych pytaniach okazało się, że powodem przetrzymywania materiału na szturmówki był... żal. Towarzysz Adamczyk nie został bowiem wybrany do zarządu partii i odsunięto go od wyborów do komitetu.

Nieczne pogłoski o przewodniczącym zarządu

Przewodniczący zarządu, Władysław Banasik, także chciał zrezygnować z pełnienia swojej funkcji. Składając rezygnację, powiedział, że „na skutek różnych głosów i wersyj krążących między mieszkańcami miejscowymi a nawet towarzyszami partyjnymi, nie chcąc narażać opinii partii, postanowił ustąpić”.

Czego dotyczyły te krążące głosy? O tym w *Księżce Protokołów* nie ma ani słowa. Czytamy jedynie, że po tym oświadczeniu „wybuchła burza sprzeciwów i głosów oburzenia między członkami obecnymi, na nieczne pogłoski, twierdząc że tow. Banasik cieszy się pełnym zaufaniem członków, oraz że może partia ponieść przez ustąpienie niepowetowane straty”. Mimo tych głosów poparcia, Władysław Banasik postanowił jednak ustąpić ze stanowiska. Na kolejnym zebraniu przewodniczący „wyjawia powody swego ustąpienia, prosząc zebranych o wybór nowego zarządu”. Nie poznajemy jednak szczegółów tej decyzji, a po głosowaniu przewodniczący „mimo protestu z jego strony, pozostał nadal na stanowisku”.

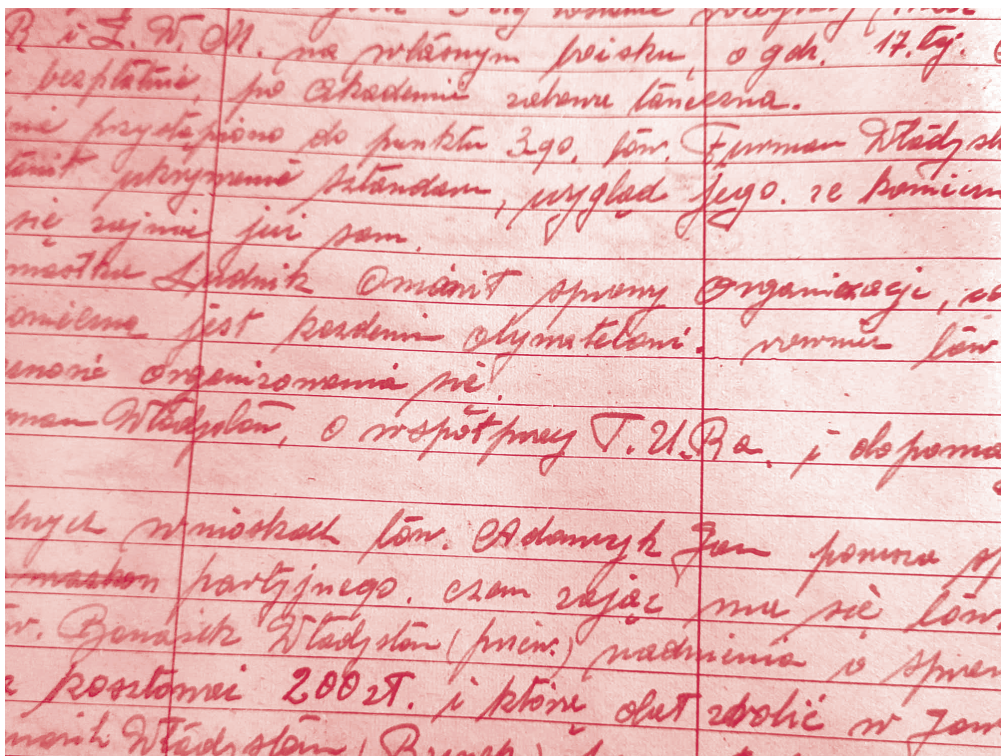
Pierwsze powojenne zebranie zakończyło się poruszającym akcentem. Przewodniczący „wzruszającymi słowami mówi, że nareszcie po 5-cio letniej niewoli możemy zaśpiewać Hymn...”.

Konieczność zorganizowania OMTUR-u

Na spotkaniach poruszano bardzo przyziemne tematy, jak na przykład problemy lokalowe i finansowe partii, ale pojawiały się też sprawy natury obyczajowej czy społecznej. Mimo wielu problemów, z którymi borykała się w Jeleniu partia, pamiętano także o sprawach wielkiej wagi.

Na marcowym zebraniu towarzysz Furman nawoływał do zorganizowania w Jeleniu Organizacji Młodzieżowej Towarzystwa Uniwersytetu Robotniczego, bo jego zdaniem „przedwojenni członkowie partii popełnili błąd





zaniedbując organizację młodzieży robotniczej, wskutek czego dzisiaj brak członków uświadomionych z młodzieży”. Był to prawdopodobnie pierwszy krok do założenia w Jeleniu OMTUR-u. Organizacja współpracowała z partią pps na wielu płaszczyznach, między innymi podejmowała wspólne przedsięwzięcia czy organizowała różne wydarzenia kulturalne.

Pismo nie zawsze było czytelne

Wyzwolenie Jelenia

W protokołach z zebrań pepeesowców znajdujemy też przejmującą relację z pierwszych dni po wyzwoleniu Jelenia spod niemieckiej okupacji. Było to wydarzenie, które pewnie wielu mieszkańców Jelenia chciałoby przemilczeć lub wyrzucić z pamięci...

Podczas wolnych wniosków głos zabrał przewodniczący Władysław Banasik, który tak wspominał ten czas:



(...) a więc dnia 27 stycznia, kiedy wróg opuścił naszą wioskę, zamilkły armaty, wyszliśmy z podziemia, a to tow. Furman



Władysław, Banasik Antoni i ja udając się do budynku Gminnego: w drodze przyłączyli się do nas Omaśka Ludwik, Deszcz Władysław, Korcz Piotr i małoletni Smalcerz Tadeusz, gdzie w oczy nasze uderzył straszny widok. Na zniszczone działaniami wojennymi, zdemolowany budynek gminny i akta, rzuciła się ludność miejscowa, rabując co jeszcze pozostało. Jednakowoż na skutek naszej interwencji rabunek został powstrzymany, a budynek został obsławiony Milicją (...)”.

Kopalnia Sobieski w niebezpieczeństwie

Pepesowcom na sercu leżał także los kopalni. Towarzysz Baran podczas swojego wystąpienia na zebraniu stwierdził, że:



kopalni Szyb Sobieski grozi wielkie niebezpieczeństwo, gdyż robotnicy nie przychodzą do pracy i kopalnię mogą przez to lekkomyślnie zatopić. Jednocześnie wyraził z troską los górników, którzy «po tak długim wycieńczeniu po scio letniej niewoli i tak okropnym postępowaniu ciemnych, radzi się odpocząć, ale pomimo tego apeluje aby do pracy przychodzić i kopalnię ratować, gdyż ta na przyszłość jest niezbędna»”.

Lokal i sztandar

Dobre wieści usłyszeli uczestnicy zebrania, które odbyło się 18 marca 1945 roku: „Po załatwieniu wszystkich formalności z Zarządem Gminnym, oddział Polskiej Partii Socjalistycznej w Jeleniu objął lokal w domu Żurawika Adama w używanie, na co wszyscy członkowie wyrazili swoją zgodę”.

Po tym oświadczeniu głos zabrał towarzysz Adamczyk, który zaproponował przeprowadzenie spisu inwentarza, oraz towarzysz Banasik, który wyraził potrzebę rozwieszenia afiszy propagandowych na ścianach budynku. Dom ten mieścił się w pobliżu jeleńskiego rynku.

Kolejna dobra wiadomość dotyczyła sztandaru PPS, który został odnaleziony i, jak ogłosił towarzysz Banasik, „pomimo że przez pięć lat pozostawał w ukryciu, znajduje się jednak w dobrym stanie, możliwym do użytku”. Zaproponował on także zmianę napisu na sztandarze – na którym były wyhaftowane inicjały „C.Z.G.”, bo przed wojną był własnością Centralnego Związku Górników – na inicjały „PPS”. Odsłonięcie sztandaru nastąpiło





30 maja 1948 roku. Do wbicia gwoźdza sztandarowego wybrano towarzysza Kopalnia „Sobieski” Władysława Banasika.

Marcowe spotkanie było także dobrą okazją do rozmowy o tym, aby zorganizować publiczne zgromadzenie lub wiec „w związku ze zbliżającym się świętem 1 maja, wzbudzając przez to robotników do budowania Polski Wolnej i Demokratycznej”.

Zbiórka książek

Podczas marcowego spotkania pojawiła się także cenna inicjatywa czytelnicza:



Tow. Banasik Wł. zwrócił się do tow. Adamczyka, który zdołał zebrać około 40 książek i przyrzekł dalej starać się o książki. Tow. Furman również zwrócił się z apelem do członków o zbieranie książek i szanowanie ich, podkreślając o wartości i wpływie książki na organizację”.

Na bibliotekarza jednogłośnie został powołany towarzysz Ludwik Omastka.





Sztandar PPS

Konflikt z księdzem i postawa godna pochwały

Temat TUR-u, który już został powołany do życia, powrócił podczas zebrania zorganizowanego 21 maja 1945 roku. Plany założenia organizacji nie spotkały się z aprobatą miejscowego księdza, co było przyczyną niesnasek pomiędzy nim a oddziałem partii:



Tow. przew. Banasik Władysław napiętnował wystąpienie miejscowego księdza, który zaatakował naszą młodzież z T.U.R-u, twierdząc że należy położyć kres temu”.

Towarzysz Furman zaproponował także zmianę lokalu dla OMTUR, bo dotychczasowy był niewystarczający, ale ze względu na brak odpowiedniego pomieszczenia, sprawę odłożono. Na zebraniu członkowie jeleńskiego PPS-u byli świadkami tego, co w praktyce oznaczało przyjmowanie do partii jedynie ludzi nieskazitelnie czystych:



Przew. tow. Banasik Władysław (...) poruszył również wysiłki jednego obywatela, który chce należeć do naszej partii, jednakże z powodu niejasnego zachowania się w czasie okupacji, do tego czasu przyjęty nie został”.

Godną pochwały postawą wykazał się towarzysz Wiktor Banasik, któremu zaproponowano zwrot kosztów za preparację drążka sztandarowego. Ten jednak odmówił, twierdząc, że „każdy członek partii powinien bezinteresownie przyczynić się do tego, żeby sztandar, który jest wyrazem siły naszej organizacji, wyglądał jak najlepiej”.

Współpraca PPS-u i PPR-u

Podczas zebrań pepeesowcy poruszali także temat współpracy z komunistyczną Polską Partią Robotniczą (PPR), którą nazywali „bratnią partią robotniczą”. Na zebraniu zwołanym 10 czerwca 1945 roku towarzysz Władysław Banasik zdawał relację z Wojewódzkiej Konferencji PPS-u w Krakowie, gdzie „stale słyszało się skargi na postępowanie bratniej partii robotniczej P.P.R.”.

Wrócono także do spraw związanych z wydobywaniem węgla w kopalniach zagłębia krakowskiego, bo ten problem poruszano na wspomnianej konferencji w Krakowie. Sprawę wyjaśnił towarzysz Nicpoń, „nadmienając, że spadek wydobywania należy tłumaczyć sobie tem, że zaborca germański wskutek rabunkowej gospodarki, wykończył wszystkie pokłady wysokie, gdzie wydobywanie jest łatwiejszym, a pozostawił same pokłady niskie, gdzie wydobywanie spotyka się z trudnymi warunkami”.

Sztandar i aparat filmowy

Sztandar i OMTUR to tematy, które regularnie pojawiały się na spotkaniach PPS-u. Protokół z zebrania, które odbyło się 25 czerwca 1945 roku, jest mało czytelny, ale można w nim znaleźć informację, że „wskutek braku funduszy w kasie partyjnej, zaproponowano pożyczkę od O.M.T.U.R., na co członkowie zarządu T.U.R. obecni na posiedzeniu chętnie się zgodzili. Omówiono także sprawę gwoździ sztandarowych oraz aparatu filmowego dla organizacji”.





Sztandar PPS
obecnie

Do sprawy aparatu filmowego powrócono na drugim styczniowym zebraniu w 1946 roku. W protokole czytamy, że „sprawa oparła się o PUBP⁷ w Chrzanowie, gdzie rozstrzygnięto, że aparat będziemy mogli mieć do dyspozycji razem z bratnią partią P.P.R. i Z.W.M⁸”.

Poruszono także sprawę pianina, „które to z rozkazu wójta mieliśmy zwrócić ob. Nowakowej, byłej volksdeutscherce. Jednakże na polecenie Ob. Wilka kierownika T.U.R. tymczasowego zarządu mienia poniemieckiego pianino pozostaje u nas”.

7 PUBP – Powiatowy Urząd Bezpieczeństwa Publicznego.

8 ZWM – Związek Walki Młodych.





Dożynki i ich następstwa

Latem 1945 roku członkowie jeleńskiego PPS-u zajmowali się przede wszystkim przygotowywaniem uroczystości dożynkowych, w które zaangażowana została młodzież z OMTUR-u. Fantazyjne pismo autora protokołów z tych spotkań utrudnia zrozumienie tekstu, ale wiadomo, że dziewczęta przygotowywały wianki oraz planowany był przemarsz do kościoła na nabożeństwo, a potem „z powrotem marsz ku budynkowi gminnemu, złożenie wianków w sali gminnej”.

Kolejny tego dnia pochód skierował się na boisko szkolne, gdzie zaplanowano przemówienia okolicznościowe i odsłonięcie sztandaru. Następnie nad Przemszą odbyła się krótka akademія, a na zakończenie – wspólna zabawa dożynkowa.

Gdy impreza trwała w najlepsze, ktoś zaczął strzelać w okna lokalu TUR-u. PPS skierował zarzuty w stronę partii PPR, która odpowiedziała, że „to działo się bez ich wiedzy, że małoletni i nieświadomiony ich członek (...) to zrobił z własnej inicjatywy. Jednak ze strony PPS oświadczono, że było to świadomie robione, aby ośmieszyć naszą uroczystość”.

Plany dotyczące budowy baraku

Temat budowy baraku poruszono na zebraniu 1 listopada 1945 roku, na którym podczas wolnych wniosków towarzysz Woszczyński „zwrócił się do zarządu o wysłanie pisma do Krakowskiego Zjednoczenia Węglowego o przydzielenie nam baraku na cele partyjne i organizacyjne”.

Zebranie zdominowała jednak gorąca dyskusja dotycząca prenumeraty tygodnika *Naprzód* i dziennika *Robotnik*. Na prenumeratę drugiego z tych czasopism nie zdecydowano się „z powodu wielkich kosztów, jakie mogło by to pociągnąć za sobą, oraz stałego opóźniania się tej gazety”.

Ożywiona dyskusja na temat baraku odbyła się na zebraniu 10 lutego 1946 roku, podczas którego towarzysz Władysław Furman zaznajomił członków z treścią pisma, jakie zostało wysłane do Gromady Jeleń dotyczącego przydzielenia placu pod budowę baraku. Do tematu wrócono na kolejnym, marcowym zebraniu, gdzie „zabrał głos towarzysz Banasik Antoni, objaśniając obecnym jak daleko posunęła się sprawa budowy baraku, udzielając następnie głosu tow. Banasikowi Władysławowi, który przedstawił konieczność wybudowania takiego baraku w naszej wiosce. Tow. Hezner opisał wygląd baraku i omówił spodziewaną pomoc w budowie”.





Zabawa, kłótnie i bijatyki

Dożynki, pochody pierwszomajowe, zabawy taneczne czy festyny, w których tuż po wojnie uczestniczyli mieszkańcy wsi Jeleń, były organizowane zazwyczaj przez oddział PPS-u. Organizację zabaw także omawiano na comiesięcznych zebraniach. Pod koniec kwietnia 1947 roku zaczęto planować zabawę pierwszomajową, która była organizowana wspólnie z OMTUR-em. Obawiano się kłótni i bijatyk, które często towarzyszyły takim imprezom, dlatego „tow. Furman proponuje ażeby Komitet Zabawy zamówił 2 milicjantów do porządku na zabawę”.

Na zebraniu, które odbyło się 14 sierpnia 1947 roku, rozmawiano o organizacji dożynek i zdecydowano, że dochód z nich, który początkowo miał być przeznaczony na rozwój oświaty, przekazany zostanie na budowę kościoła w Jeleniu.

Nowe nazwy ulic i ostatni protokół

Na odbywającym się dwa tygodnie później zebraniu podjęto temat dotyczący konieczności przemianowania nazw ulic w Jeleniu „gdyż obecny stan mianowania ulic przez okupanta musi ulec zmianie, więc uzgodniono zrobić projekt przygotowawczy”.

25 stycznia 1948 roku z okazji „rocznicy wyzwolenia naszej miejscowości od wojsk niemieckich przez armię czerwoną zebrani postanowili uczcić pamięć poległych jednogminutowym milczeniem”.

Ostatni protokół w książce datowany jest na 30 października 1948 roku i wieje z niego smutkiem... Poświęcony został jedynie wystąpieniu towarzysza Furmana, który skrytykował członków partii za ich opieszałość i brak zainteresowania:



Jedni obarczeni nadmiarem pracy i zasiadający we wszystkich komitetach reprezentują partje jednoosobowo, a drudzy po swojej pracy zawodowej spędzają czas dla swojej przyjemności przy kieliszku albo przy kartach i wielką łaskę robią jeżeli składkę członkowską zapłacą i to jeszcze do tego potrzeba ich namawiać”.

W wyniku połączenia się podczas tak zwanego Kongresu Zjednoczeniowego – który odbył się w dniach 15-21 grudnia 1948 roku – Polskiej Partii

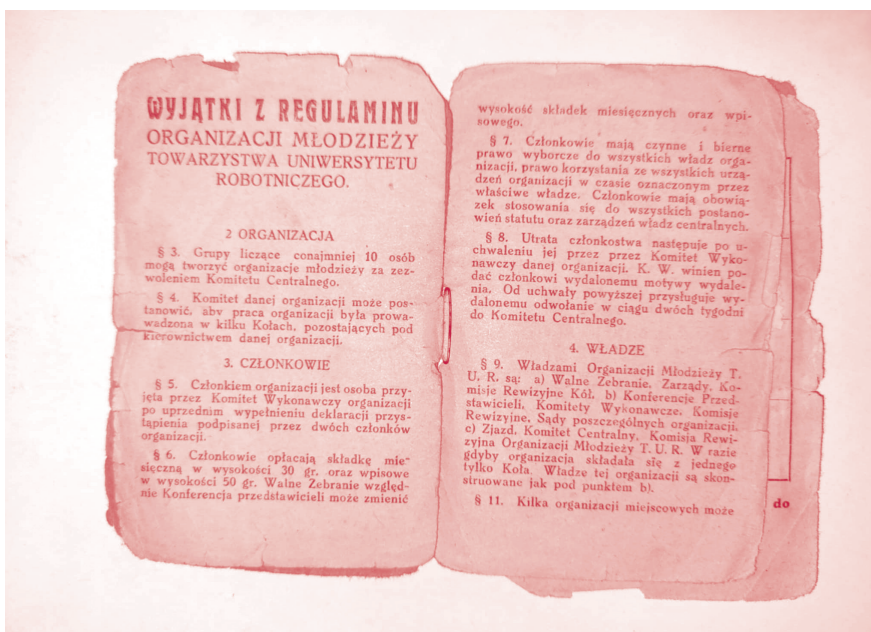




Legitymacja
członka OMTUR

Socjalistycznej i Polskiej Partii Robotniczej powstała Polska Zjednoczona Partia Robotnicza (PZPR).

Protokoły ze spotkań jeleńskiego oddziału partii PPS pokazują nam, jak wyglądała rzeczywistość tuż po drugiej wojnie światowej i uświadamiają, jak duży wpływ ta partia miała na lokalną społeczność.



Legitymacja
członka OMTUR

W cytatach z protokołów zachowano oryginalną pisownię.



Rozdział V

STO LAT WSPOMNIEŃ

Eugeniusz Wilkosz urodził się 9 sierpnia 1924 roku w Jeleniu. Przez dwadzieścia sześć lat mieszkał w domu przy ulicy Biały Brzeg. W pamięci zachował wiele wydarzeń, które dla młodszych pokoleń są już zamierzchłą historią...

Pierwsze wspomnienie z dzieciństwa

Miałem dwie młodsze siostry. Jedna urodziła się w 1927 roku, a druga w 1929 roku, 7 sierpnia. Dzień narodzin młodszej siostry zapamiętałem bardzo dobrze. Wtedy dzieci rodziły się w domach, dlatego była u nas akuszerka. Tata terował dach, a starsza siostra bawiła się na brzegu Wąwolnicy, małego potoku, z ośmioletnią sąsiadką, która pasła tam kozy. W pewnym momencie ojciec usłyszał krzyk sąsiadki. Okazało się, że moja dwuletnia siostra wpadła do Wąwolnicy i zaczęła się topić. Już niósł ją nurt, a jej sukienka unosiła się na wodzie. Ojciec szybko zeskoczył z dachu, przeskoczył przez płot i wyciągnął ją na brzeg. Później akuszerka pomogła ją ratować, no i się udało. Siostra przeżyła. Zmarła dopiero w 2023 roku w wieku dziewięćdziesięciu sześciu lat. Widziałem całe to zdarzenie. To była historia rodzinna, którą często wspominaliśmy. Siostra jej nie pamiętała, bo miała dwa lata i знаła ją tylko z mojej opowieści.





Lata szkolne

Chodziłem do starej szkoły w Jeleniu. Skończyli ją też mój ojciec i matka. Pamiętam, że moją wychowawczynią była pani Klockówna, religii uczył nas ksiądz Jurga. Był jeszcze nauczyciel o nazwisku Gieruszyński, który przejął szkołę po tym, jak Niemcy, podczas wojny, aresztowali dyrektora Szlagora i wywieźli go do Dachau. Wtedy też zamknęli całą inteligencję w Jaworznie, również mojego ojca. W 1935 roku, po śmierci Piłsudskiego, w całej Polsce była żałoba i u nas w szkole też. Uczyliśmy się wtedy takiej piosenki:



Marszałku!

*To nieprawda, że ciebie już nie ma,
To nieprawda, że jesteś już w grobie,
Chociaż płacze dziś cała polska ziemia,
Cała polska ziemia w żałobie...
Choć twe serce już więcej nie bije,
Choć opuścił cię twój duch dzielny,
W naszych sercach na zawsze pozostaniesz,
Ukochany Wodzu...
Nieśmiertelny!*

Od lewej stoją:
Marianna
i Ferdynand
Wilkoszowie, rodzice
Eugeniusza. Mama
była wówczas z nim
w ciąży. Siedzą,
od lewej: siostra
matki, Waleria,
Anna Nocoń,
babka Eugeniusza.
Dzieci: mniejszy
chłopiec – Piotr
Nocoń, który został
pilotem, większy
– Franciszek
Nocoń, brat matki,
dziewczynka –
Władysława Nocoń,
ciotka.

Ze szkoły podstawowej pamiętam też, że pło się tran – to było obowiązkowe. Działały też różne organizacje młodzieżowe. Był taki nauczyciel – nazywał się Biel – który organizował nam spotkania. W niedzielę chodziliśmy czwórkami do lasu, za ulicą Biały Brzeg, przy której mieszkałem. W lesie śpiewaliśmy, ale też robiliśmy różne ćwiczenia, takie niby-wojskowe, chowaliśmy się i szukaliśmy. Wszystko to miało na celu przygotować nas do obrony, do wojny. Organizacja, w ramach której ćwiczyliśmy, nazywała się Liga Obrony Przeciwlotniczej i Przeciwgazowej. W latach 1936-1937 Niemcy się zbroili i było już widać, że będzie wojna.

W 1934 roku była wielka powódź w Polsce. Wąwolnica wylała i zalała pola, domy na szczęście oszczędziła. Wtedy do Jelenia przywieźli dzieci z wiosek

Eugeniusz Wilkosz
– zdjęcie z I komunii
świętej





spod Oświęcimia – z Gromca i z innych – bo tam była powódź. I te dzieci przez rok chodziły z nami do szkoły, a mieszkaly po ludziach – tam, gdzie je przyjęli.

Początek wojny

Koło domu mieliśmy stodołę, a w tej stodole była piwnica. Jak wybuchła wojna, to w Polsce była taka propaganda, że Niemcy będą oczy wydłubywać i wpuszczać gaz do domów. No i w pierwszy dzień wojny razem z ojcem uszczelniałem okna do piwnicy, żeby gazy się nie przedostały. Widziałem też lecące nad Przemszą sztukasy, niemieckie samoloty. Leciały tak nisko, że dokładnie widziałem namalowane na nich srebrne krzyże.

Już 2 i 3 września 1939 roku zaczęła się masowa ucieczka. Matka wzięła tylko plecak i z moimi siostrami uciekła do Ojcowa, ale szybko wróciły.

Przed wojną z Francji do Polski wrócił mój dziadek – Piotr Nocoń. Przywiozł dwa rowery, które dostał od rodziny Szurkowskich – tej, z której wywodzi się słynny kolarz. Moja ciotka wyszła za mąż za jednego z Szurkowskich. Te francuskie rowery były piękne! Uciekaliśmy na nich do Zamościa. Kawałek ojciec mnie wiozł, a kawałek jechałem sam, bo już miałem piętnaście lat i byłem wysoki. Po drodze mijaliśmy ludzi na furmankach, uciekali całymi taborami, a Niemcy bombardowali to wszystko. Było strasznie.

W Terespolu ulokowaliśmy się u takiego dobrego człowieka, który nas przyjął, a jeszcze wcześniej byliśmy w Połańcu i spaliśmy w stodole. Kupiliśmy z ojcem dwadzieścia pięć jaj po trzy grosze i gospodarz nam je usmażył, bo bardzo byliśmy głodni. Potem dalej uciekaliśmy w stronę Zamościa, ale spod Zwierzyńca wróciliśmy i przyjechaliśmy na rowerach do Rozwadowa. Tam Niemcy nam te rowery odebrali, więc wsiedliśmy do pociągu towarowego i przyjechaliśmy do Trzebini, skąd dotarliśmy do domu. Trzy tygodnie nie było nas w Jeleniu. Nic się w tym czasie tam nie zmieniło...

Koniec wojny

W 1945 roku widziałem radzieckie pociski lecące w kierunku Dzieńkowic, jednocześnie z drugiej strony, zza Przemszy, niemieckie działa uderzały w domy naszych sąsiadów i w nasz. Byliśmy wtedy w środku i nic nam się nie stało, ale na domu zostały ślady po kulach.





Zdjęcie z I komunii
świętej

Za kościołem i na Wygodzie stały radzieckie czołgi. Jak Niemcy w nie uderzyli, to wybiegli z nich popaleni żołnierze. Czołgi ktoś potem rozebrał.

W styczniu 1945 ojciec szedł do pracy na kopalnię, ale wrócił, bo z lasu wyjechał radziecki czołg. I przez kilka dni strzelali jedni do drugich. Niemcy siedzieli wówczas w murowanych bunkrach za Przemszą. Zostaliśmy wtedy w domu i któregoś dnia przyszedł radziecki żołnierz i pytał: „German jest? German jest?”, Obserwował Niemców, jak wysypują sobie śnieg z tych bunkrów. I dodał jeszcze: „Job twoju mać, Germaniec...”. Ale nie strzelał, bo jakby zaczął strzelać, to Niemcy by nas spalili.

Tego dnia zginął mój dziadek, Piotr Nocoń. Po powrocie z Francji pracował w ładowni nad Przemszą, gdzie obsługiwał kocioł do wytwarzania pary. Wyszedł z piwnicy, zamknął nas od zewnątrz i poszedł radzieckim żołnierzom pokazać, gdzie pracuje. Za Przemszą byli Niemcy i go zastrzelili. To było w dzień wyzwolenia Jelenia.



Wojna i młodość

Jako młody chłopak grałem na mandolinie. Dostałem ją od mojego wujka Piotra Noconia, który był lotnikiem. On grał na mandolinie i na skrzypcach. Ja sam się nauczyłem grać. Często grałem z kolegami – z Władysławem Dylągiem, gitarzystą, z Ludwikiem Czopkiem, skrzypkiem, i z Janem Koryczanem, akordeonistą. Podczas wojny spotykaliśmy się w krzakach nad Przemszą – przychodziły dziewczyny i robiliśmy potańcówki, a jak Niemcy nas przeganiali, to uciekaliśmy do lasu. Po wojnie chodziliśmy na Tarkę. Podczas spotkań też śpiewaliśmy, na przykład takiego walczyka, który zaczynał się od słów: „Dziś musisz mi dać ust słodkich jak miód...”.

W 1944 roku w sylwestra robiliśmy prywatkę na Borach. Rano przyszliśmy do Jelenia i chodziliśmy po domach „po kolędzie”, ale Janek Koryczan znał tylko dwie kolędy – *W żłobie leży* i *Wśród nocnej ciszy*. Ludzie się cieszyli z naszych odwiedzin, częstowali nas jedzeniem, uzbieraliśmy też trochę marek.

Od lewej:
Władysław Dyląg,
Eugeniusz Wilkosz,
Ludwik Czopek,
Jan Koryczan





Innym razem, na prywatce, zaczęliśmy śpiewać *Niech żyje nasz orzeł biały*. Policjanci niemieccy podsłuchali nas pod oknem i weszli do mieszkania z pistoletami – to było w 1944 roku. W Jeleniu w rynku był wtedy posterunek policji i tam nas zaprowadzili. Wylegitymowali nas i wypuścili. Był tam taki policjant, Szymura, umiał mówić po polsku. Gdyby wtedy był ktoś inny, to by nas aresztowali, ale ten na szczęście był przekupiony, bo policja dała się przekupić.

Jak przyszli inni policjanci, kazali nam się zgłosić po południu na policję. A między nami był syn Łypa, bauera, gospodarza. I on miał kontakty z Pyplaczem⁹ – ówczesnym wójtem Jelenia. Jak przyszliśmy do domu, to dostaliśmy wiadomość, że mamy iść nie na policję, ale do restauracji, która była wtedy nad Przemszą, bo Łyp załatwił z Pyplaczem, żeby nas nie aresztowali. Pod policją już czekał samochód, bo mieli nas zabrać do Oświęcimia, do obozu, ale zapłaciliśmy tylko po pięć marek kary i nie aresztowali nas. Z nami był też wtedy Kazimierz Bożek, który jest teraz patronem ulicy w Jeleniu – w tamtych czasach grał na akordeonie.

Po wojnie – aresztowanie

To było w 1946 roku. Kosilem ludziom łąki i tak sobie zarabiałem. Któregoś dnia zobaczyłem nad Przemszą dwóch facetów. Zatrzymali mnie i pokazali emblemat Armii Krajowej – orła białego i obrazek z Matką Boską. Potem zanosilem do lasu – może dwa razy się to zdarzyło – gazetkę pod tytułem *Orzeł Biały*. Zlecał mi to Kazimierz Bożek. Nie wiedziałem, komu to noszę, ale bardzo dobrze znałem ten las i wiedziałem, gdzie trzeba iść i gdzie to zostawić. Po wojnie, w 1946 roku, przyszedł do nas jeden z tych mężczyzn znad Przemszy i powiedział, że był związany z organizacją niepodległościową. Nazywał się Henryk Gawron. Można o nim przeczytać w różnych książkach politycznych – dwadzieścia osiem razy udało mu się rozbroić milicję.

Za tę pomoc zatrzymali moją siostrę, ale tylko dzień ją trzymali, a mnie i ojca zawieźli do Będzina i tam nas sądzili. Ojca sprawę umorzyli, a ja siedziałem pięć miesięcy. Zarzut: „Współpraca z nielegalną organizacją”. W celi siedem na pięć metrów siedziało prawie czterdziestu więźniów. Dostałem pięć lat, ale w 1947 roku była amnestia i wyszedłem na wolność.

Ojciec pracował w kopalni Sobieski. Przed wojną skończył szkołę sztygarską i podczas okupacji pracował w dozorze, był nadsztygarem. Po aresztowaniu

9 Maciej Pyplacz – wójt Jelenia w latach 1940-1945 z ramienia niemieckich władz okupacyjnych.





ojca zdjęli ze stanowiska. Później pracował w dyrekcji Zjednoczenia Przemysłu Węglowego w Mysłowicach. Zmarł młodo, bo nie mógł się pogodzić z aresztowaniem. Był dobrym, szanowanym człowiekiem, patriotą, a został potraktowany jak przestępca.

Członkostwo w OMTUR-ze

Byłem skarbnikiem w OMTUR-ze. Najpierw spotykaliśmy się w prywatnym domu, a jak budowali barak, w którym potem mieliśmy siedzibę, to robiłem w nim światło. Kupiliśmy sobie, jako OMTUR, aparat do oglądania filmów, ale później kazali nam go oddać komunistycznemu ZMP, który też działał w Jeleniu.



Piotr Nocoń,
wujek Eugeniusza,
pilot polskich sił
lotniczych Wojska
Polskiego





Byłem na uroczystości w Chrzanowie, gdy PPS połączyło się z PPR-em. Pamiętam, jak jeden pepeesowiec z Chrzanowa płakał, że on się nie zgadza na to połączenie, bo PPR to była partia całkiem komunistyczna, a PPS – robotnicza i nie była wroga Kościołowi.

W tym samym roku byłem z wycieczką z OMTUR-u w obozie w Oświęcimiu. Pojechaliśmy tam stwierdzić i udokumentować zbrodnie niemieckie. W krematorium były jeszcze świeże ślady – ściany były oblepione włosami i pomazane krwią, wszystko strasznie śmierdziało. To było wstrząsające.

W latach 1948-1949 wyposażałem domy w prąd. W Jeleniu kilkanaście domów podłączyłem! Wcześniej to nie było takie proste, ale w tamtych latach już dużo ludzi się na to decydowało. Przy kościele był transformator, a kolejne dobudowali na Końcu i na Wygodzie.

Dalsze losy

Eugeniusz Wilkosz w 1950 roku ożenił się z Janiną Borowiec i wyprowadził z Jelenia. Pracował między innymi w młynie, w Zakładach Chemicznych Azot, w Fabryce Lokomotyw Fablok w Chrzanowie, w kopalni Sobieski. Dwukrotnie był na kontraktach w Czechosłowacji. Wujkiem Eugeniusza był Piotr Nocoń, lotnik, który zginął w lutym 1942 roku podczas służby w Wielkiej Brytanii. Jego imieniem nazwano jedną z dróg wewnętrznych w Jaworznie.

W 1951 roku Wilkoszom urodził się pierwszy syn, ale zmarł, gdy miał dwa miesiące. Małżeństwo miało jeszcze dwóch synów – jeden zmarł w wieku sześćdziesięciu dwóch lat, a drugi wciąż żyje, ma sześćdziesiąt cztery lata i właśnie przeszedł na emeryturę. Janina zmarła w 2014 roku, Eugeniusz ma trzech wnuków, jedną wnuczkę, cztery prawnuczki, jednego prawnuka i dwie praprawnuczki.





Rozdział VI

Z JELENIA DO GUJANY, CZYLI HISTORIA (NIE)PRAWDOPODOBNA

Wielki podróżnik, poszukiwacz diamentów, żołnierz Armii Krajowej, ale też „urwis jak cholera” i „migłanc” – to najkrótsza charakterystyka bohatera tego rozdziału. O takich życiorysach mówi się, że są gotowym materiałem na scenariusz filmowy.

Tymczasem o głównym bohaterze tej opowieści nawet w Internecie niewiele znajdziemy – nikt, jak do tej pory, nie poświęcił mu chociażby wpisu w Wikipedii. Jego postać pojawia się za to w co najmniej trzech książkach reporterskich.

Ignacy Gołas, bo o nim jest mowa, po wstąpieniu do AK przyjął pseudonim Jerzy, a w Gujanie i innych krajach określano go imieniem George. Pokrótce losy podróżnika z Jelenia opisane były także dwukrotnie w jaworznickiej prasie.

Wiemy, że urodził się w Jeleniu w 1926 roku, gdzie skończył szkołę powszechną, choć to, czy ją rzeczywiście skończył, nie jest takie pewne. W czasie wojny wstąpił do AK, a po wojnie do wojska, z którego uciekł najpierw do Niemiec, a potem do Kanady. Tam założył drużyny harcerskie, a także grał jako bramkarz w klubie sportowym. Majątku dorobił się jednak na poszukiwaniu diamentów, a później na handlu nimi. Uzyskał także licencję pilota. W Gujanie poznał swoją przyszłą żonę – Lucy, z którą doczekał się potomstwa.



Wracał jednak do Jelenia, zarówno gdy był jeszcze kawalerem, jak i z żoną oraz z dziećmi, z którymi odwiedził także Kraków. W Szkole Podstawowej nr 21 zorganizował pokaz slajdów ze swoich egzotycznych podróży.

O Gołasie w książkach

W Gujanie Brytyjskiej, gdzie był znaną postacią, Gołasa odwiedzili autorzy książek reporterskich, wśród których był słynny Arkady Fiedler. W swoim zbiorze esejów podróżniczych pod tytułem *Spotkałem szczęśliwych Indian* poświęcił mu nieco miejsca, pisząc między innymi:



Ignacy Gołas

Jerzy Gołas był bezsprzecznie najbarwniejszą postacią, i to nie tylko wśród Polaków gujańskich. Uchodził tu za milionera i chyba słusznie. Urodził się w Jeleniu na Górnym Śląsku. Za młodu «urwis jak cholera», rozczytany w kryminałach i przygodach podróżniczych, pod koniec wojny, nie mając jeszcze dwudziestu lat, wyrwał się w świat. Za morze, do Kanady, a stąd na Alaskę, by zostać poszukiwaczem złota i podobnych skarbów. Alaska zawiodła, natomiast w Kanadzie nauczył się latać, a że rozpierała go nieśpożyta energia i przedsiębiorczość, śmignął do Gujany, słynnej z bogactwa diamentów i złota. Tu kuci finansisci poznali się na młodym człowieku, pomogli mu i oto po niewielu latach Gołas stał się potęgą: posiadał dwie prosperujące kopalnie diamentów i cały system związanych z tym składnic, a poza tym trzy własne samoloty, Dessny 115, i okazały bungalow w puszczy nad rzeką Mazaruni. Rzecz zrozumiała, że miał śliczną willę przy Thomas Street w Georgetown, także kosztowne auto niby krążownik szosowy i młodziutką żonę Kreolkę, pochodzenia, jak przypuszczam, portugalskiego. Niezmordowany człowiek wielkich interesów miał dość bujnych sił, by jak młodziak być zadurzony po uszy w żonie i dwójgu maleńkich dzieciach¹⁰.

Diamenty i aligatory to książka napisana przez Aleksandra Grobickiego, autora powieści historycznych, dzieł biograficznych i popularnonaukowych. Przez to, że książka została wydana tylko raz – w Kanadzie w roku 1966 – obecnie jest bardzo trudno dostępna, w Polsce w jej posiadaniu jest za-

10 A. Fiedler, *Spotkałem szczęśliwych Indian*, Warszawa 1984, s. 64.



ledwie kilka bibliotek. W książce autor, jak sam pisze we wstępie, „zagłębia się w mroczną i wilgotną dżunglę Amazonki, by szukać w niej diamentów i polować na aligatory”. Podczas swoich egzotycznych wędrówek również dotarł do posiadłości Gołasów, gdzie napisał swoją książkę. Gospodarza tak w niej scharakteryzował:



Niski, silnie zbudowany, blondyn, zawsze uśmiechnięty i skłonny do żartów, zawsze spokojny i opanowany, ale uparta bestia”.

Postać Jerzego Gołasa, jako poszukiwacza diamentów, pojawia się także w zbiorze reportaży Olgierda Budrewicza zatytułowanym *Spotkania z Polakami*. W notce bibliograficznej książki czytamy:



Podczas swoich licznych wędrówek po świecie, opisywanych w innych publikacjach, autor wiele czasu poświęcał na poszukiwania lokalnych poloników i spotkania z Polakami osiadłymi w różnych częściach świata. Spotkania z Polakami podsumowują te poszukiwania w jednym tomie, dając obraz o Polakach zamieszkających w odległych częściach świata, tak osobach powszechnie znanych, jak i przeciętnych emigrantach”¹¹.

W książce opisał kilkudziesięciu Polaków rozsianych po całym świecie. Autor odwiedził między innymi takie kraje, jak Chile, Brazylia, Japonia, USA, Jamajka, Trinidad i Tobago czy Gujanę właśnie. Budrewicz nigdy nie spotkał Gołasa, ale usłyszał opowieści o nim, które streścił w takich słowach: „Nieco później uzupełniłem sobie listę gujańskich Polaków o człowieka nazwiskiem Jerzy Gołas; jest to malownicza postać, poszukiwacz diamentów w dzielnym interiorze Gujany – podobno przez długie lata przebywał pieszo tysiące kilometrów dżungli, był biedakiem i szaleńcem, aż pewnego dnia trafił na cudowną żylę; teraz Gołas posiada własne samoloty, organizuje stałe ekspedycje, regularnie dostarcza diamenty jubilerom w Georgetown”¹².



Żona i syn

Szkoda, że Olgierd Budrewicz nie spotkał naszego słynnego rodaka – jego opowieść byłaby z pewnością dużo ciekawsza, bardziej wiarygodna i oparta

11 *Spotkania z Polakami*, Wikipedia, https://pl.wikipedia.org/w/index.php?title=Spotkania_z_Polakami&oldid=75648456 [dostęp 18 lutego 2025].

12 O. Budrewicz, *Spotkania z Polakami*, Warszawa 1969, s. 26.



na informacjach z pierwszej ręki. Mogliby też znaleźć wspólny język, bo obaj byli żołnierzami Armii Krajowej.

Miglanc z dobrym sercem

Ignac zapadł w pamięć mieszkańcom Jelenia, którzy go znali lub mieli z nim jakąkolwiek styczność. Zawsze był postrzegany jako barwna postać z głową pełną pomysłów. Gdy już był mieszkańcem Gujany, wracał do Jelenia. Podobno któregoś dnia przyjechał cadillakiem...



Podczas pobytu
w Gujanie

Z tak fascynującą osobą do tej pory wiąże się wiele legend i opowieści – nieprawdopodobnych i jednocześnie prawdopodobnych, bo nikt nie wie, na ile są prawdziwe...

Z Ignacem w jednym warsztacie pracował inny bohater tej książki – dwa lata od niego starszy Eugeniusz Wilkosz, który tak wspomina znajomość ze słynnym podróżnikiem:

To był miglanc i chachar! W Jeleniu mieszkał niedaleko kościoła. Wtedy skarbonki kościelne były umieszczane na zewnątrz, a on chodził i wykradał z nich pieniądze. Pamiętam też jak po wojnie, jako młodzi chłopcy, chcieliśmy wstąpić do wojska, żeby zemścić się na Niemcach. Pojechaliśmy do Szczakowej, żeby stamtąd dostać się do Krakowa, ale nie dało się wsiąść do pociągu, bo tak był przepełniony. Ja z kuzynem wróciliśmy, a Ignac pojechał do wojska na parowozie. Podobno tam został ranny”.

”

Jak wspominają mieszkańcy Jelenia, po latach, gdy już był zamożnym człowiekiem, Ignac ufundował jeleńskiemu kościołowi żyrandol.

W nieco lepszym świetle przedstawia Ignaca kolejna historia z nim w roli głównej...

Do Jelenia na początku lat sześćdziesiątych przyjeżdżał gospodarz, który sprzedawał owoce i warzywa, bo tu nie było sklepu warzywnego, jedynie jarmark w Jaworznie. Mieszkańcy Jelenia chętnie korzystali z jego usług, także uczniowie ze starej szkoły kupowali u niego jabłka – zazwyczaj po



kilka sztuk, a czasami, jak ich było stać, to nawet pół kilograma czy kilogram. W jeleńskich ogródkach takie pyszne jabłka nie rosły – były z robakami i niespecjalne w smaku, a na hycy też trudno było iść, bo właściciele pilnowali. Jabłka od tego gospodarza pochodziły spod Krakowa i były prawdziwymi smakołykami!

Po lewej Tadeusz
Lipka, Gujana.

Któregoś dnia, gdy handlarz podjechał pod szkołę, zauważył go Ignacy Gołas – który był wtedy w Jeleniu – i krzyknął, żeby się zatrzymał.

W szkole była akurat przerwa, a w tamtych czasach dzieci spędzały ją na podwórku. Gołas zawołał: „Chodźcie chłopcy!” i bez pytania zaczął wyjmować ze skrzynek jabłka i je rozdawać uczniom. Podchodziło do niego coraz więcej dzieci, aż skrzynki całkiem opustoszały. Oszołomiony sprzedawca nie rozumiał, co się dzieje, ani kim jest ten człowiek. Złodziejem? Wariatem? Niepokój zamienił się jednak w radość, gdy podejrzewany o najgorsze Ignac zapłacił mu sowicie za wszystkie jabłka.

O hojności Gołasa świadczy też kolejna (nie)prawdopodobna historia, którą przekazują sobie z ust do ust mieszkańcy Jelenia... Podczas pobytu w Polsce Ignac uczestniczył w zabawie sylwestrowej, na której bawili się mieszkańcy



Jelenia. Był jeszcze kawalerem i podobno smażył cholewki do jednej miejscowej dziewczyny. Wówczas na zabawach tanecznych organizowanych w Jeleniu i w sąsiednich miejscowościach ogłaszano walc czekoladowy albo pomarańczowy. Polegał on na tym, że chłopak zapraszał dziewczynę do tańca, a potem w bufecie kupował jej czekoladę albo pomarańczę. W zabawie tej brały udział nie tylko panny, ale też mężatki – ich dzieci nie mogły doczekać się powrotu mamy z balu, bo miały nadzieję, że przyniesie coś dobrego. Podobno Ignac zmienił nieco zasady tej zabawy i zamiast owoców czy słodczy wręczał swojej wybrance biżuterię lub złoty zegarek.

Ignacy (Jerzy, George) Gołas zginął w 1966 roku w katastrofie swojego samolotu, gdy leciał wraz z przyjaciółmi nad Amazonią. Ich ciała nigdy nie odnaleziono...

Za wujkiem do Gujany, czyli historia Tadeusza



Tadeusz z żoną
wujka Lucy Gołas

Gołas nie był jedynym mieszkańcem Jelenia, który zamieszkał w Gujanie. Ściągnął tam swojego siostrzeńca – Tadeusza Lipkę.

Tadek, podobnie jak w młodości jego wujek, nie garnał się do nauki. Rodzice nie radzili sobie z niesfornym synem i uknuli sprytny plan, który się ziścił – Tadek, w wieku piętnastu lat, wyjechał do Gujany! Wyjazd był oczywiście opłacony przez wujka. W tamtych czasach nie wystarczyło jednak mieć pieniądze, aby pojechać na drugi koniec świata, w Jeleniu szeptało się więc, że Ignac na rozmowę z urzędnikiem wybrał się z diamentem...

Gdy Ignac zaginął w Amazonii, Tadeusz wrócił do Jelenia. W Gujanie spędził w sumie pięć lat.

Po powrocie do Polski Tadeusz ożenił się z Ireną, założył rodzinę i resztę życia spędził w Jeleniu.

Czasem jednak wracał pamięcią do czasów spędzonych w Gujanie – wspominał dżunglę, polowania, na które zabierał go wujek. A polowali na wszystko – Tadek zjadł nawet upolowanego przez siebie węża. Wspominał też



długą podróż statkiem – z Europy do Ameryki płynął dwa tygodnie. Podróż nie była łatwa i Tadek chyba niewiele z niej zapamiętał, bo dopadła go paskudna choroba morska – tak o egzotycznej przygodzie męża opowiada Irena Lipka

Pani Irenie
z podróży
męża zostały
wspomnienia
i zdjęcia

Tadeusza ciągnęło do Gujany, ale nie udało mu się już tam wyjechać. W ogóle niewiele już potem podróżował – po latach pracy w piaskowni i na kopalni udało mu się wybrać tylko do sanatorium. Jedyną pamiątką, która została w rodzinie po wożach Tadeusza, były zdjęcia i bilety podróżne. Jego córka dostała też złotą bransoletkę, którą spieniężyła, gdy dach domu wymagał remontu. Diamenty pozostały tylko w opowieściach...



Rozdział VII

KRONIKA MIASTA JELEŃ – SENTYMENTALNA PODRÓŻ DO LAT 70.



Kronika pozostaje
w prywatnych rękach

Każdy dokument przedstawiający życie w Jeleniu z czasów, których już nie wszyscy pamiętają, jest niezwykle cenny. Wiele z nich uległo zniszczeniu, ale została *Kronika*, która jest bardzo interesującą lekturą. Pisano ją z pewnością ze względów propagandowych, ale dzięki niej możemy mieć informacje z pierwszej ręki o tym, czym mieszkańcy Jelenia żyli w odległych latach siedemdziesiątych. *Kronika* pozostaje w prywatnych rękach, ale na potrzeby napisania tej książki pozwolono mi do niej zajrzeć...

Pisane na maszynie teksty, okraszone czarno-białymi zdjęciami z jeleńskich wydarzeń, oprawione zostały w solidną, wykonaną ze skaju okładkę. Na niej widnieje wytłoczony złoty napis *KRONIKA MIASTA JELEŃ 1973*, a nad nim niewielki, również złoty, orzełek bez korony. W *Kronice* opisane są wydarzenia, które działy się na przestrzeni lat 1970-1975.

Nie sposób opisać ani streścić całej zawartości *Kroniki*, ale poniższe historie doskonale oddają to, jak wyglądało życie w Jeleniu pół wieku temu...





Uroczyste nadanie imienia

Kronikarz odnotował niezwykle wydarzenie, jakim było pierwsze w Jeleniu uroczyste nadanie dziecku imienia w Urzędzie Stanu Cywilnego. Uroczystość ta była odpowiednikiem kościelnego chrztu. Relacje państwa z Kościołem w latach siedemdziesiątych nie były łatwe i stąd te świeckie namiastki kościelnych sakramentów.

Dziecko tego dnia, zamiast rodziców chrzestnych, zyskiwało honorowych opiekunów. Tak w *Kronice* zostało opisane to wydarzenie:



W dniu 10.V.1970 r. o godz. 12-tej w Jeleniu w Urzędzie Stanu Cywilnego odbyło się pierwsze uroczyste nadania imienia dziecku urodzone w dniu 13.III.1970 w Jaworznie. Rodzicami dziecka są Bronisław i Henryka Porwit. Dziecku nadano imię Jarosław, Grzegorz przez kierownika USC Ob. Zuzanne Hibner. Honorowymi opiekunami są Weronika Buła i Mieczysław Panek. Podczas uroczystości gratulacje złożył Przewodniczący OK FJN



Uroczyste nadanie
imienia





Tow. Józef Rudzki i członkowie ZMW Krzysztof Żbik i Teresa Rzepecka. Ponadto w uroczystości brała udział orkiestra ZMW. Z ramienia Prezydium RNO w Jeleniu brał udział Jan Lizonczyk Członek Prezydium”.

Sukces i cenne nagrody!

Kreatywnością, sprytem i zapobiegliwością wykazali się mieszkańcy Jelenia, którzy dzięki udziałowi w dwóch konkursach wygrali niezwykle cenne i pożądane w tamtym czasie nagrody, z których mogła korzystać lokalna społeczność.

Prowadzony przez Związek Młodzieży Wiejskiej (ZMW) Klub Kulturalno-Rozrywkowy „Przyszłość” w Jeleniu odniósł duży sukces! W konkursie na najlepszą placówkę kulturalną w Polsce zdobył pierwsze miejsce w powiecie oraz na szczęblu wojewódzkim i wyróżnienie na szczęblu centralnym. Łączna kwota nagród dla jeleńskiej placówki wyniosła pięćdziesiąt tysięcy złotych. Połowę tej kwoty przeznaczono na upragniony przez młodych ludzi telewizor:



Realizując w dalszym ciągu dobrą pracę klubu opartą o plany roczne i kwartalne oraz o prace poszczególną sekcji pracujące w Klubie jak sekcja historyczna, fotograficzna turystyczna, ruchu drogowego, dziecięca, plastyczna oraz szachowa która w konkursie o złotą wieżę zajęła dwa pierwsze miejsca w powiecie a w województwie uplasowała się na V miejscu. W wyniku zasług według opinii Wydziału Kultury i Oświaty WRN w Krakowie przeznaczono ze środków centralnych kwotę 25.000 zł. za co zakupiono telewizor kolorowy marki „Szafir” 401 produkcji ZSRR z którego korzysta młodzież chętnie przebywająca w Klubie”.

Radio i magnetofon w konkursie czystości (prawdopodobnie oceniany był porządek w pokoju) wygrał mieszkaniec jeleńskiego Domu Górnik numer trzy, który był przeznaczony dla górników kopalni Sobieski. Nagrodę zwycięzcy wręczono 28 sierpnia 1971 roku podczas uroczystego otwarcia kawiarni w Domu Górnik. Laureatem konkursu został Piotr Bukowski, a pierwszym klientem kawiarni, znany już z kart tej książki, Jerzy Bilny. W *Kronice* czytamy także, że otwarcia kawiarni dokonał dyrektor administracyjny Józef Potoczek w towarzystwie sekretarza Komitetu Zakładowego Ludwika Sitki.





Nie wiadomo, jakie były nagrody w konkursie zorganizowanym w 1970 roku z okazji setnej rocznicy urodzin Lenina, w którym mieszkańcy Jelenia wykazali się dużą wiedzą na temat przywódcy rewolucji październikowej:

Telewizor kolorowy
marki „Szafr”

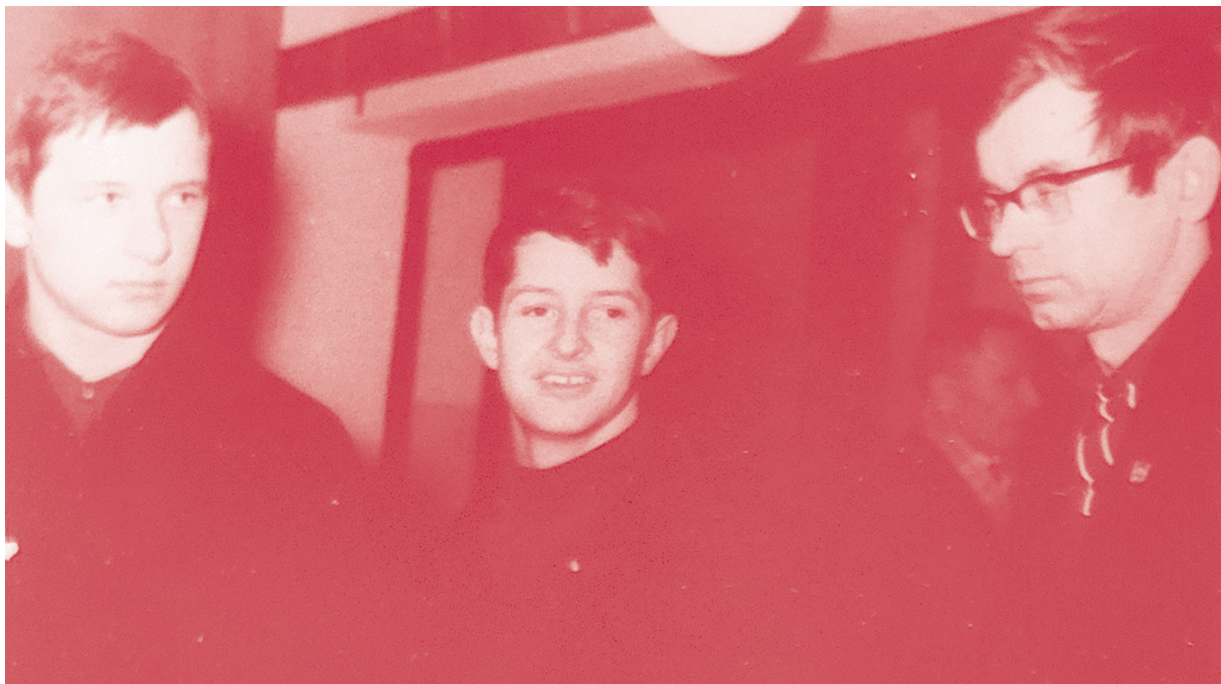


W dniu 18.11.1970r. z okazji 100-tnej rocznicy urodzin Włodzimierza Lenina Zarząd Zakładowy ZMS wspólnie z Komisją KO DG Kopalni Sobieski zorganizował konkurs dla pracowników Kopalni w świetlicy Domu Górnika. Pytania do konkursu były: Życiorys Lenina, działalność i pobyt Lenina w Polsce, 25 lecie PRL i wiadomości Polsce i Świecie Współczesnym. W konkursie zwyciężyła trójka finalistów Ciszewski Andrzej, Winiarczyk Władysław, Drożdż Zdzisław która otrzymała nagrody książkowe i będzie reprezentowała Kopalnię w podobnym konkursie na szczeblu miejskim. Podczas konkursu dał występ Zespół Estradowy ZDK w Jeleniu pod kierownictwem Stanisława Włodarczyka”.

Siła czynu społecznego!

Czyn społeczny – to dzięki niemu w Jeleniu powstało wiele dróg, chodników, budynków... Udział w czynach brała przede wszystkim młodzież, ale





Zwycięzcy konkursu
wiedzy o Leninie

nie tylko – swój czas poświęcał każdy, kto chciał uczestniczyć we wspólnym
trudzie, dla wspólnego dobra.

Kronikarz bardzo skrupulatnie odnotował wykonane w czynie społecznym
prace, kwoty na nie przeznaczone, a także liczbę przepracowanych godzin:

”

- Rok 1973 – zaplanowano i wykonano w czynie społecznym:
wstępne prace przy budowie Stadionu Sportowego w Jeleniu
963 tys. na kwotę 370 tys., budowę chodników na ul. Fabrycznej
na kwotę 543 tys. zł.
- Rok 1974 – przy budowie Stadionu Sportowego w Jeleniu
wykonano rowy odwadniające, przygotowano ogrodzenie
i wykonano częściowo niwelację terenu, co stanowi wartość
w kwocie 408.980,- zł.
- Na zaplanowaną budowę Ośrodka Zdrowia w Jeleniu
w ramach czynów społecznych zadeklarowano i zebrano datki
pieniężne od mieszkańców na kwotę zł. 105.000.
- Dla uczczenia XXX-lecia PRL mieszkańcy Jelenia przepracowali
przy budowie ulicy Sobieskiego 600 godzin przez 145 osób, na
wartość 9.000 zł. Oprócz tego wykonano niwelację terenu,





ułożono krawężniki, ułożono wjazdy z trylinki. Ogółem wartość prac przy budowie ulicy Sobieskiego wynosi 72.500 zł,-

Czyn społeczny

- Dla uczczenia xxx-lecia PRL wykonano prace porządkowe w śródmieściu, a mianowicie: przepracowano 3.350 godzin przez 1.554 osoby i zasadzono drzewa i krzewy oraz uporządkowano zieleńce, co daje wartość w kwocie zł. 50.000,-
- Przy budowie boiska szkolnego młodzież przepracowała 138 godz. na wartość 2.000 zł”.

Dla potomnych – czyli dla nas – w Jeleniu w czynie społecznym sadzone były też drzewa. W roku 1972 posadzono ich aż trzynaście tysięcy! Tak ten fakt opisał kronikarz:



Drzewa te zasadzono nad Pszemszą obok Tarki i na Glinnej Górze. Posadzono: brzozy, dęby, modrzewie przez rencistów. Z inicjatywy komisji rencistów przy Radzie Zakładowej Kopalni Sobieski pracę tą wykonano w czynie społecznym. W ubiegłym roku przepracowali oni 853 godziny w Ośrodku rekreacyjnym „Tarka” oraz na Glinnej Górze przy zalesianu terenów, a w roku 1972 rencisci poświęcili 601 godzin czynom społecznym pracując przy budowie i nowego chodnika do Tarki, sadząc drzewa i krzewy.





Sadzenie
drzew w czynie
społecznym

*Na Glinnej Górze zasadzono 3.000 brzoź, bębów i modrzewi.
A uczniowie zasadniczej szkoły górniczej Kopalni Sobieski
zasadzili 3.000 topoli. Drzewa te sadzi się od kilku lat tworząc pas
zieleni wokół kopalni”.*

Czyn społeczny we krwi mieli też młodzi ludzie ze Związku Młodzieży
Wiejskiej. Kronika pisze o nich tak:

”

*«Każdy kłos na wagę złota» ZMW-owcy w akcji. Siedmiu członków
nowopowstałego Koła ZMW w Dębie, Lucjan Banasik, Stanisław
Bożek, Irena Maliszewska, Renata Pacwa, Mieczysław Radko,
Henryk Karweta i Andrzej Chacusi pracowali u gospodarza
Sylwestra Koczura z Dębu pomagając mu w pracach polowych/
przepracowali 90 godz. Ponadto 20 członków dokonało kapitalnego
remontu Klubu «Ruch» w Dębie, biorąc równocześnie nad
nim opiekę. Przy remoncie tego klubu w czynie społecznym
przepracowano 600 godz. wartości 6.300.- zł. w przeciągu
30 dni. W dniu 19.VIII.1971 r. uroczystego otwarcia dokonał
Z-ca Przewodniczącego Powiatowego Zarządu ZMW Bronisław
Drewniak w obecności Przewodniczącego ORN w Jeleniu
Ob. Kazimierza Banasika i aktywu młodzieżowego jak również*



Wincentego Bolka, Stanisława Smalcerza, Lucjana Banasika Przewodniczącego Koła ZMW w Dębie. Wyróżniającym się w pracy społecznej wręczono dyplomy uznania”.

Każdy kłos na wagę złota, czyli ZMW-owcy w akcji

Zasłużeni dla Jelenia

Wiele kronikarskich stronicy zostało poświęconych zasłużonym mieszkańcom Jelenia, w tym najważniejszemu w mieście – naczelnikowi Jelenia Stanisławowi Furmanowi. Krótki, poniższy tekst przybliży jego sylwetkę i pokazuje niełatwą drogę, jaką przebył, by objąć to stanowisko:



Mianowanie go na to stanowisko nastąpiło z chwilą powstania ponownie gminy i nadania praw miejskich w 1973 r. miastu Jeleń. Stanisław Furman urodził się w Jeleniu w dniu 6.XI.1940 r. w rodzinie robotniczej, jest synem Władysława i Władysławy z domu Purat. Szkołę podstawową ukończył w miejscu urodzenia w 1954 roku. Po ukończeniu szkoły w młodym wieku podjął pracę jako pomocnik kierowcy w PKS-ie Kraków Oddział Jaworzno. Z uwagi na trudny dojazd do pracy przenosi się w roku 1956 do pracy fizycznej na kop. «Sobieski». Następnie w 1958 r. podejmuje



Naczelnik miasta
Jeleń – Stanisław
Furman

pracę fizyczną w KPPMB w Zakładzie Prefabrykacji - Jaworzno, gdzie pracuje do dnia 1.IV.1959 r. W tym dniu ulega wypadkowi, w którym stracił lewą dłoń i w związku z tym przebywa do sierpnia 1960 r. na rencie, a od września 1959 r. podejmuje naukę w Technikum Ekonomicznym w Krakowie. Po ukończeniu Technikum od 1 sierpnia 1960 r. ponownie podejmuje pracę na kop. «Sobieski» w charakterze pracownika umysłowego. Po pięciu latach, od 1 grudnia 1965 r. przenosi się do Zakładów Chemicznych «Azot» i pracuje do czerwca 1970 r. jako ekonomista zaopatrzenia. Pracując w «Azocie» decyduje się na ponowny powrót do górnictwa i po raz trzeci podejmuje pracę umysłową w kopalni «Sobieski».

Wśród mieszkańców Jelenia, którym poświęcono kronikarskie wpisy, znaleźli się między innymi:

Aleksandra Lipka – społeczniczka, radna, kierowniczką ośrodka „Nowoczesna Gospodyni” w Jeleniu, a także organizatorka i pierwsza przewodnicząca Koła Gospodyń Wiejskich. Pełniła też funkcję przewodniczącej Towarzystwa Przyjaciół Dzieci w Jeleniu. W Kronice dodatkowo możemy przeczytać, że:



Będąc czułą i wrażliwą na nędzę ludzką od 1957 r. jest terenowym Opiekunem Społecznym, pomagając starszym i dzieciom potrzebującym opieki i pomocy. Nie obca jej też dziedzina kulturalna. Od chwili powstania Zakładowej Świetlicy i Domu Kultury Kop. Sobieski, bierze czynny udział w życiu kulturalnym, np. w sekcji teatralnej, w zespole regionalnym itp. Z chwilą powołania Samorządu Mieszkańców w Jeleniu pracuje w nim jako członek, ponadto jest członkiem Kolegium d/s Wykroczeń, a od 5 lat tawnikiem sądowym. W związku z nadaniem praw miejskich Jeleniowi w roku 1976 zorganizowała koło Ligi Kobiet, piastując stanowisko przewodniczącej”.



Aleksandra Lipka
– zasłużona dla
Jelenia



Swoją działalność kulturalno-społeczną prowadziła na wielu polach i cieszyła się dużą sympatią wśród mieszkańców Jelenia.

Jan Baba – działacz ruchu robotniczego, o którym czytamy:



Bierze udział w różnych akcjach w walce z reakcją. Był organizatorem masówek na kop. Sobieski, uczestnik pochodu «Krwawej Środy», zbierał fundusze na «Czerwoną Hiszpanię» jako pomoc dla rodzin pojmanych i prześladowanych towarzyszy. Od wyzwolenia jest aktywnym członkiem PPR, w tym okresie bierze udział w utrwalaniu władzy ludowej, agituje w okresie referendum i wyborów w 1947 r., delegowany do różnych miejscowości województwa krakowskiego. W latach 1952-1969 był członkiem Gminnej Rady Narodowej jako radny w Komisji Rolnictwa i Zaopatrzenia w Jeleniu. Mimo podeszłego wieku bierze czynny udział jako działacz społeczny w życiu miasta, a wśród społeczeństwa cieszy się dobrą opinią”.

Złote Gody w USC w Jeleniu

W latach siedemdziesiątych, podobnie jak obecnie, honorowano małżeństwa, które przeżyły ze sobą pięćdziesiąt lat. W 1975 roku w Jeleniu takich par było osiem. W sobotę, 13 grudnia 1975 roku, odbyła się niezwykła uroczystość:



Osiem par jednocześnie na ślubnym kobiercu i to w towarzystwie własnych dzieci, wnuków oraz przedstawicieli zakładu to uroczystość, która nie często zdarza się w Jeleniu. Tym razem (...) nie był to jednak zwykły ślub”.

W gronie szanownych jubilatów znaleźli się: Jerzy i Józefa Proksowie, Hieronim i Jadwiga Żurawikowie, Józef i Marta Urbańczykowie, Klemens i Maria Bartyzelowie, Franciszek i Józefa Proksowie, Władysław i Bronisława Majewscy, Jan i Maria Puratowie, Antoni i Franciszka Jamrozowie.

Wzrost czytelnictwa w Jeleniu

Znaczącą rolę w życiu kulturalnym Jelenia odgrywała miejscowa biblioteka. W roku 1970 odnotowano tam spory wzrost czytelnictwa:





Z koncem 1969 r. biblioteka posiadała blisko 73 tys. książek. W owym roku też wypożyczono ogółem 27,2 tys. egzemplarzy, wśród korzystających z biblioteki znajduje się dużo młodzieży a przede wszystkim pracowników Kopalni Sobieski. Młodzi poszukują najnowszych wydań opiewających okres po drugiej wojnie światowej. Starsi czytelnicy sięgają chętnie po literaturę klasyczną. Biblioteka w Jeleniu, zajmuje się ponadto organizacją konkursów czytelniczych i wystaw, z okazji 100-nej rocznicy urodzin V.I.Lenina biblioteka wraz z Uniwersytetem Robotniczym przy ZDK przygotowała turniej pod hasłem «Szlakiem Lenina!».

Lucyna Miś
– biblioteka
w Jeleniu

Godziwa rozrywka dla młodzieży!

W latach siedemdziesiątych „z inicjatywy aktywu społecznego i sprotowego przy Kopalni SOBIESKI powstał Społeczny Komitet Budowy Ośrodka Sportowego w Jeleniu. Ta inicjatywę społeczną aktyw Osiedla Jelen postanowił dać w najbliższych latach godziwą rozrywkę dla młodzieży. Będzie budowany stadion dla piłki nożnej z trybuną, boiska tenisowe i do siatkówki jak również hala sportowa, która może zastąpić izbę zborną dla mieszkańców Jelenia”.



Krzewienie oświaty sanitarnej

Na wpis pochwalny zasłużyła także miejscowa przychodnia, która zapewniała dobrą opiekę mieszkańcom Jelenia:



Dobrze pracuje Osiedlowa Przychodnia Rejonowa w Jeleniu. Tutejszy Ośrodek Zdrowia zatrudnia 3 lekarzy medycyny 1 lekarza stomatologa, 1 pielęgniarkę, 1 położną, laborantkę medyczną i instruktora higieny. Kierownikiem placówki jest lekarz medycyny Lekarz Witold Nieć. W minionym półroczu 1970 r. służba zdrowia w Jeleniu przyjęła 5.167 pacjentów i dokonała 245 wizyt domowych. Ponadto przebadano 2884 dzieci. W poradni, którą prowadzi lekarz Jan Wilk udzielono 480 porad pacjentkom, a w poradni stomatologicznej załatwiono 2102 osoby. W gabinecie zabiegowym wykonano ogółem 3307 zabiegów i zaszczepiono 1485 dzieci. Przychodnia krzewi oświatę sanitarną wśród mieszkańców. Wygłoszono 68 pogadań w Ośrodku Zdrowia. Warto nadmienić że lekarz Witold Nieć cieszy się dużym zaufaniem wśród mieszkańców i zdobył sobie popularność przez dobrą opiekę nad zdrowiem mieszkańców”.

W *Kronice* wspomniano także o kontynuowaniu budowy piekarni, która rozpoczęła się w lipcu 1973 roku, o dwudziestopięciolecie Oddziału Polskiego Związku Hodowców Gołębi Pocztowych w Jeleniu i o wielu wydarzeniach, którymi w tamtym czasie żyła jeleńska społeczność. Z dumą pisano też o sukcesach naszych piłkarzy z klubu Górnik Sobieski.

W cytatach z kroniki zachowano oryginalną pisownię.





Rozdział VIII

HISTORIA PARY Z OKŁADKI

Zdjęcie to pojawiło się na facebookowym profilu *Jeleń na starych fotografiach*. Niby zwyczajna fotografia, niewiele się na niej dzieje i właściwie nie ma żadnej pewności, że została zrobiona w Jeleniu, ale przyciąga wzrok i rozbudza wyobraźnię... Co się stało z tą dziewczyną, która z taką czułością odgarniała grzywkę z czoła chłopaka? Jak potoczyły się losy chłopaka, który patrzył na nią z zachwytem? Kim dla siebie byli? Czy się kochali? Czy spędzili życie wspólnie? Czy byli szczęśliwi?

Zdjęcie pochodzi sprzed wielu lat, można więc było mieć obawy, że trudno będzie zidentyfikować jego bohaterów, a jeszcze trudniej do nich dotrzeć. Para na zdjęciu szybko jednak została rozpoznana przez użytkowników profilu, a komentarz Adama Wójcika – „Moi dziadkowie!” – otworzył drzwi do poznania ich historii...

Tak się życie potoczyło...

Dowiadujemy się, że para ze zdjęcia to Marian Taborski i jego żona Zofia. On już niestety zmarł, ale pani Zofia ma się dobrze i zgadza się opowiedzieć historię ich wspólnego życia. Historię obfitującą w wiele zaskakujących faktów:





Zofia i Marian

”

Na tym zdjęciu nie byliśmy jeszcze małżeństwem, ale spotykaliśmy się już może od półtora roku, chodziliśmy do kina czy na tańce. W tamtych czasach nikt nie myślał o zaręczynach. W Jeleniu nie było żadnych atrakcji dla młodych. Jedynie barak i myśmy się tam spotykali, bo czasem tam wystąpił jakiś zespół. Ale ja nie miałam za dużo czasu na rozrywki, bo rodzice mieli gospodarkę i musiałam im pomagać. Brat się na mnie obraził o to, że nie chciałam się kształcić i przyjechać do niego, do Warszawy, ale ja nie chciałam zostawić rodziców na pastwę losu. Mieli nas tylko dwoje, a brat już wyjechał... Ojciec był schorowany, wcześniej zmarł, miał sześćdziesiąt lat, i mama potem sama się borykała ze wszystkim. Czasami czułam żal, że nie pojechałam do Warszawy, ale trudno, tak się życie potoczyło...”





Nieprzeciętny autor fotografii

Historia powstania tej fotografii nie jest zwyczajna. To nie przypadek, że budzi ona emocje i trudno od niej oderwać wzrok... Za obiektywem stał brat Zofii, Antoni, który był wielkim pasjonatem fotografii i człowiekiem nieprzeciętnym. Zmarł w 2022 roku, w wieku dziewięćdziesięciu dwóch lat. W jego nekrologu umieszczonym na stronie wydawca.com czytamy między innymi:



Antoni Szczepański urodził się 6 czerwca 1930 r. w Jaworznie. Tam też otrzymał w 1950 r. świadectwo dojrzałości w Szkole Ogólnokształcącej im. Tadeusza Kościuszki. Był wybitnym poligrafem, który w latach 50. ubiegłego wieku pracował w Państwowym Wydawnictwie Naukowym, a następnie



Marian i Antoni, brat Zofii





ukończył studia w Inżynierskiej Szkole Poligraficznej w Lipsku. W latach 60. wstąpił do Sekcji Poligrafów, a następnie został przewodniczącym Koła Zakładowego Sekcji przy DSP. W kolejnych latach pełnił funkcję przewodniczącego Oddziału Warszawskiego Sekcji, po czym został przewodniczącym Zarządu Głównego Sekcji Poligrafów i członkiem Zarządu Głównego SIMP. Antoni Szczepański został odznaczony Srebrnym Krzyżem Zasługi, srebrnymi i złotymi odznakami stowarzyszeniowymi SIMP i NOT oraz tytułem Zasłużonego Seniora SIMP w roku 1994”¹³.

Jak się okazało, tematem zdjęcia nie miało być gorące uczucie Zofii i Mariana, a... motor!

– Antek, jak zobaczył Mariana na motorze, to powiedział, że chce mu zrobić zdjęcie, no i ja mu te włosy poprawiałam, bo ciągle mu spadały – opowiada Zofia.

Jedyne takie wesele

Zofia i Marian pobrali się 27 grudnia 1958 roku. W tamtych czasach wesela organizowano w domach. Rozsuwało się meble i ustawiało stoły i krzesła – często pożyczane od sąsiadów i rodziny. Tak miało wyglądać także wesele Zofii i Mariana, ale trzeba było zmienić plany, bo okazało się, że para młoda może nie być największą atrakcją na swoim własnym weselu...

Na studiach w Lipsku Antoni, brat Zofii, zaprzyjaźnił się z kolegą z roku, Maxem. Chłopak pochodził z Konga i podczas przerwy świątecznej nie miał możliwości pojechania do swojego kraju, dlatego postanowił wybrać się z Antonim do Jelenia. I to właśnie Max był powodem, dla którego plany weselne Zofii i Mariana musiały ulec zmianie:



Wszyscy chcieli zobaczyć Maxa. A że wujek, brat mojej mamy, był kierownikiem Domu Kultury, to wesele zrobiliśmy tam. Koledze Antka bardzo zabawa się podobała, szczególnie polskie dziewczyny przypadły mu do gustu. On także zwracał na siebie ich uwagę, bo miał piękne gęste włosy i był przystojny. Mój brat cały czas go pilnował, bo bał się, żeby jakichś problemów z tego nie było. Moje koleżanki, które nie wiedziały o tym, że na weselu był Max, miały do mnie pretensje, że im o tym nie powiedziałam”.

13 Odeszli od nas: Antonii Szczepański, wydawca.com.pl [online], 16 grudnia 2022, <https://wydawca.com.pl/2022/12/16/odeszli-od-nas-antonii-szczepanski/> [dostęp: 18 lutego 2025].





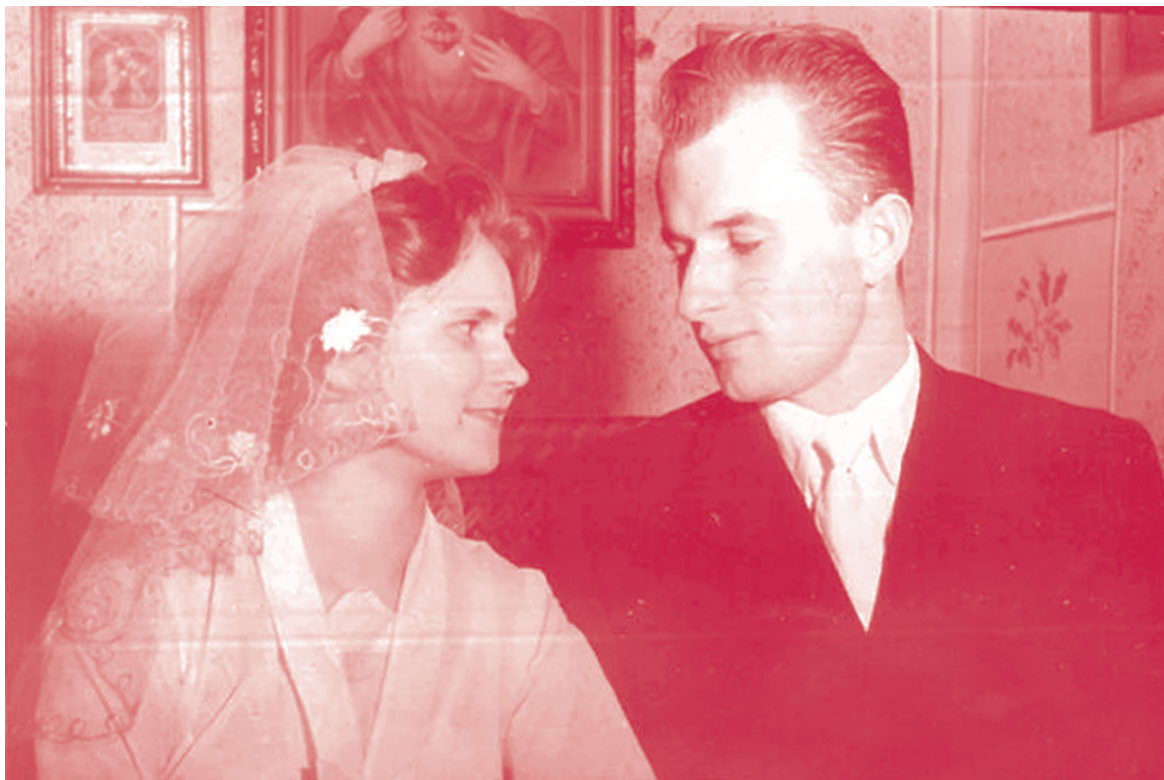
Max i Antoni

Skandalu obyczajowego udało się na szczęście uniknąć. Kucharki weselne miały tylko trochę więcej pracy, bo Max nie jadał wieprzowiny i specjalnie dla niego musiały przygotowywać dania z kurczakiem.

Zawsze razem

To nietypowe wesele było początkiem długiego i ciekawego wspólnego życia Zofii i Mariana. Przez wiele lat omijały ich życiowe burze i niepowodzenia. Najtrudniejszy czas mieli podczas budowy domu, bo nie zawsze starczało pieniędzy na wszystko. Marian z zamiłowania był sportowcem, jednym z zawodników klubu piłkarskiego działającego przy kopalni Sobieski:





Zofia i Marian
– fotografia ślubna



– Grali w Jeleniu, na ogrodzonym boisku, tym, co jest teraz za boiskiem szkolnym. Marian jeździł na obozy sportowe, starał się zawsze mnie zabierać. Nawet jak nasza córka Marysia była malutka, to zostawała z nią moja mamusia, a ja jechałam, bo on nie chciał sam, zawsze tylko ze mną.

Zofia lubiła te wyjazdy. Szczególnie miło wspomina mecz, który drużyna Mariana rozegrała w Żywcu:

– To był mecz o wejście do A klasy. Marian był napastnikiem i w tym meczu bardzo dużo bramek strzelał. Po każdej patrzył w stronę trybun, gdzie ja skakałam z radości.

Po tym meczu Marian miał sporo propozycji gry w drużynach w innych miastach, ale nie skorzystał z nich, bo Zosia nie chciała zostawić rodziców, a on – Zosi. Marian w piłkę grał niemal do czterdzieści.





– Jeździł na obozy sportowe, początkowo jako zawodnik, potem jako kierownik drużyny. A ja na tym korzystałam, bo jeździłam z nim. Miło wspominać na przykład wyjazd do Krynicy”.

Rozchwytywana krawcowa i bezradna radna

Na graniu w piłkę zawodnicy jednak nic nie zarabiali, nawet nie zwracano im za wyjazdy, dlatego aby utrzymać rodzinę, Marian pracował całe życie na kopalni jako ślusarz i mechanik. Zofia pracowała jako krawcowa. Na brak zleceń nie mogła narzekać. Fachu nauczyła się sama z książek. Pruła i szyła od nowa, aż osiągnęła biegłość.

– Nie chcę się chwalić, ale jeździły do mnie klientki aż z Katowic i z Krakowa. Szyłam przede wszystkim suknie ślubne, to najbardziej lubiłam – opowiada.

Wśród jej klientek były te najbardziej wymagające – Zofia potrafiła im uszyć to, czego żadna inna krawcowa nie zdołała. A gdy już nosiły wykonane przez nią ubrania, to były podejrzewane o ubieranie się w Modzie Polskiej. Zofia nie tylko szyła, ale też wymyślała nowe, niespotykane fasony. Sukienka, którą ma na okładkowym zdjęciu, również wyszła spod jej igły, ale suknię ślubną uszyła jej ciocia Mariana.

Przez parę lat, w czasach PRL-u, Zofia była radną. Nie kandydowała na to stanowisko, zaproponowano jej tę funkcję, bo miała pole i była rolniczką. Nie wspomina jednak tego czasu z sentymentem:



– My byliśmy RADNI-BEZRADNI. Nikt nie brał pod uwagę tego, co miałam do powiedzenia. Byłam radną przez osiem lat, dwie kadencje. Traktowałam to jako obowiązek”.

Zofia z Marianem doczekali się jednej córki:



– Kiedyś nasza córka szła ze swoimi kuzynkami i Marian powiedział: «Patrz, ale byłoby fajnie, gdyby wszystkie trzy były nasze!». Chcieliśmy mieć więcej dzieci, ale lekarz mi odradzał. Ja jednak powiedziałam mężowi, że spróbujemy, bo wiedziałam, że on tego chce. Ale on mi odpowiedział: «Jak ciebie nie będzie na świecie, to po co mi dziecko?». Kochaliśmy się do końca!”.





Zofia i Marian
z córką

Marian Taborski zmarł w 2018 roku. Zofia mieszka w Jeleniu z córką, z wnukiem i z jego żoną oraz z dwójką prawnuków w wybudowanym wraz z mężem domu.

Wszystkie zdjęcia pochodzą z prywatnego archiwum Zofii i Mariana Taborskich.





Rozdział IX

OPOWIEŚĆ O MOICH DZIADKACH

Opowieści o nich nie może tu zabraknąć... O moim dziadku i babci. Piszę ten tekst dokładnie w czterdziestą rocznicę śmierci mojego dziadka. Śmierci, której nikt się nie spodziewał, bo wszyscy mówili, że „Czopek to będzie żył i żył...”.

Ale stało się inaczej. Zmarł 3 października 1984 roku, w wieku 72 lat, tuż przed domem, gdy wracał od lekarza, którego odwiedził, bo dzień wcześniej źle się poczuł. Gdyby nie stanowczość babci, wybrałby się tego dnia na grzyby na Cholerne.

To z nimi przede wszystkim – z Franciszkiem i Marią Czopkami – kojarzy mi się najwcześniejsze dzieciństwo, czyli czas, gdy Jeleń był dla mnie jeszcze całym światem. Dosłownie. Byłam wtedy pewna, że Koniec, jak w Jeleniu mówi się na Łęg, to koniec świata. Że za tym lasem nie ma już nic...

Dziadek przez lata pracował w kopalni Sobieski, ale gdy się urodziłam, to był już na emeryturze. Jednak nawet wtedy nie próżnował – na strychu naszego domu założył sobie warsztat szewski. Na brak pracy nie narzekał – swoje schodzone, wymagające naprawy kozaki, lakierki czy czółenka przynosili do naprawy nie tylko mieszkańcy Jelenia, ale całego Jaworzna. Mieli pewność, że zostaną naprawione solidnie i posłużą im jeszcze niejednym sezonem.





Maria i Franciszek
Czopkowie

Bo dziadek nie był zwykłym rzemieślnikiem – on tę pracę kochał. Każdy but dopieszczał tak długo, aż osiągnął doskonałość. Trzymając but nad głową, dziadek oglądał go z każdej strony, a gdy na jego twarzy pojawiał się uśmiech zadowolenia, to znaczyło, że but spełnia oczekiwania i może wrócić do właściciela.

Do swojego królestwa pachnącego butaprenem i skórą udawał się tuż po wczesnym śniadaniu. Często pierwszym dźwiękiem, jaki słyszałam po obudzeniu się, był stukot młoteczka, którego używał w pracy. Lubiłam go tam odwiedzać, w tej jego niewielkiej pracowni, z której rozpościerał się widok na pobliskie pola i las w oddali.

Podczas wakacji biegłam na stryszek tuż po śniadaniu i porannej dawce *Teleferii*.

Dziadek witał mnie uśmiechem i częstował witaminą C do ssania, której miał pełny słoiczek. A ja zadawałam mu wiele typowo dziecięcych pytań, na które zawsze z wielką cierpliwością mi odpowiadał.





Dziadek na
własnoręcznie
zrobionej ławeczce

Z okna warsztatu było widać rosnące w oddali – na polach przed lasem – piękne drzewo o rozłożystej koronie. W odpowiedzi na moje niemądre pytanie: „A co to jest za drzewo?”, usłyszałam wspaniałą opowieść. Mógł przecież powiedzieć, że to zwykłe drzewo, może jabłoń, a może grusza, z daleka nie widać dokładnie. Mógł. Ale powiedział, że „to jest drzewo, na które co roku zlatują się wszystkie ptaki świata i urządzają sobie naradę. Że wtedy drzewo jest jeszcze piękniejsze, bo kolorowe i rozśpiewane”. Od tamtej pory zawsze wypatrywałam, czy to nie jest właśnie ten dzień, w którym ptaki obsiadły koronę tego drzewa, które już nigdy nie było dla mnie zwykłym drzewem...

Innym razem opowiedział mi bardzo jeleńską historię.

– A czyje są te buty? – najczęściej zadawałam to właśnie pytanie.

– Śtyrnostego – odpowiedział dziadek któregoś dnia.

Odpowiedź ta wprawiła mnie w zdumienie, więc zapytałam:

– Śtyrnostego? Tak się nazywa?

– Bo wiesz, Ulusiu, na kopalni pracowało bardzo dużo Banasików i trzeba ich było ponumerować, no i tyn był śtyrnosty – wyjaśnił.

Najwięcej czasu z babcią i dziadkiem spędzałam w wakacje. Bardzo lubiłam godzinę dwunastą. O tej porze w radiu rozlegał się hejnał, a tuż po nim od





skocznej polki *Dziadek* rozpoczynało się *Lato z Radiem*. Zwykle o tej godzinie dziadek kończył swoje szewskie prace i przychodził na obiad. Zanim jednak zasiadł do stołu, mył się i przebierał w świeżą, elegancką koszulę i spodnie podtrzymywane przez szelki. Na stole najczęściej stał gorący żur. Po obiedzie dziadek ucinął sobie krótką drzemkę, opierając głowę o kredens. Po półgodzinie budził się jak nowo narodzony i w dobrym nastroju. Zresztą nie pamiętam go w innym – czasem był zagniewany, ale nigdy na nic nie narzekał...

Gdy wracałam ze szkoły, wstępowałam do kiosku, który kiedyś był w rynku, aby odebrać gazety z naszej teczki – numer trzynastie. Po obiedzie wspólnie z babcią i dziadkiem oddawaliśmy się przy kuchennym stole lekturze. Najbardziej lubiłam środy – wtedy wychodziła *Filipinka* – i czwartki – w teczkę czekał na mnie *Świat Młodych*. Prenumerowaliśmy też takie gazety, jak *Trybuna Ludu*, *Trybuna Robotnicza*, *Gwarek*, *Gospodyni*, *Przyjaciółka* czy *Wieści*. I być może parę innych, których tytuły wyleciały mi z głowy.

W letnie dni często spędzaliśmy czas razem w sąsiadującym z naszym podwórkiem lasku. Do spacerów dziadek zachęcał mnie słowami: „Chodźmy na spacer, na słoneczko, na wiaterek”, a gdy właśnie czytałam, recytował wiersz:



*Rzuć tę książkę do rupieci!
Niech w kawałki się rozleci!
Niechaj zginie! Niech przepadnie!
Chodź się bawić, tam tak ładnie...
Słońko świeci, ptaszek śpiewa,
będziem biegać wkoło drzewa”.*

W lasku pokazał mi kosa, który każdego dnia o tej samej porze siadał na łysym czubku jednej z sosen i zaczynał swoje trele. Codziennie chodziliśmy sprawdzać, czy jest, i nigdy nas nie zawiódł! Aż do pewnego dnia, w którym się nie pojawił... Pamiętam, jak smutno mi się wtedy zrobiło. Kos już nigdy nie wrócił, choć codziennie przez pewien czas zerkałam z nadzieją na łysy czubek sosny...

Podczas jednego ze spacerów policzyliśmy wszystkie drzewa rosnące w lasku, a na każdym z nich zostawiliśmy napisany kredą numer porządkowy. Jesienią odwiedzaliśmy nasz ogródek i zbieraliśmy spadłe z drzewa orzechy laskowe, które potem dziadek rozłupywał młotkiem.

Obok naszego domu stał stary budynek, w którym wychowała się moja babcia. Do końca życia mieszkała w nim jej mama, a potem przeróżni lokatorzy.





W końcu stał się placówką kościoła Wolnych Chrześcijan w Jaworznie. W sobotę odbywała się tu szkółka dla dzieci, a we wtorki nabożeństwa. I w tym niewielkim domku, w małym ogrzewanym kozą pokoiku, w którym stały stare drewniane krzesła i zdezelowana fisharmonia, głosił płomienne, płynące z serca kazania.

W pamięci przechowuję też jesienne lub zimowe wieczory spędzone z dziadkiem. Na powitanie robił mi kubek gorącej herbaty z cytryną i graliśmy w domino, irytował się, gdy przegrywał... Czasami babcia, zakładając chustkę na głowę, informowała nas, że idzie „na wieś” albo „na chałpy”, co w obu przypadkach znaczyło wyjście do koleżanki na pogaduszki, i wtedy, chwilę po jej wyjściu, z ust dziadka padało (retoryczne) pytanie: „Urszulko, zamaszkiecimy coś?”. Po czym myszkowaliśmy po pokoju w poszukiwaniu skrzątnie przez babcię poukrywanych słodczy.

Dziadek zmarł 3 października 1984 roku, gdy miałam jedenaście lat. Tego dnia, gdy wracałam ze szkoły, pomyślałam sobie, że „to będzie fajny dzień!”. Okazał się jednym z najgorszych w moim życiu. Od tej pory nie potrafię już tak pomyśleć ani powiedzieć, bo boję się, że znów stanie się coś strasznego...

Babcia

O takich osobach jak ona mówi się, że albo się je kocha, albo wręcz przeciwnie. Z pewnością zapisała się w pamięci każdego, kto ją poznał. Nie była od rozpieszczania – to zadanie doskonale wypełniał dziadek.

Babcia każdego dnia mnie budziła i wyprawiała do szkoły. Poranny rytuał wyglądał tak – szybko zrywałam się z łóżka, myłam się i ubierałam, po czym babcia czesała mnie w warkoczyk, który miał przetrwać co najmniej pięć godzin lekcyjnych, dlatego musiał być solidny. Tak solidny, że podczas czesania łzy mi leciały ciurkiem...

Gdy ktoś mówił coś, z czym się nie zgadzała, kwitowała jego wywody krótkim: „A idze, idze”. Chyba że wyjątkowo się z kimś nie zgadzała, wtedy odpowiedź była znacznie dłuższa i brzmiała: „A idze, idze, idze, idze, idze, idze...” i tak dalej.

Kiedy wracałam ze szkoły, a było to w latach osiemdziesiątych, i na stole czekał na mnie już obiad, to wiedziałam, co się święci... Kawę rzucili! Musiałam szybko zjadać i biec do sklepu w rynku zająć kolejkę, bo sprzedaż zaczynała





Z babcią przed domem. Lata 70.

się dopiero o czternastej. Stałam tam znudzona przez jakieś pół godziny, a tuż przed czternastą przychodziła babcia i stawiała przede mną w kolejce. Tym sposobem wracałyśmy do domu z dwiema kawami, bo przypadała jedna na głowę. W nagrodę dostawałam paczkę landrynek w kształcie księżyców oraz możliwość uczestniczenia w świętowaniu tego wydarzenia, czyli w organizowanych przez babcię spotkaniach z jej rówieśniczkami przy kawie i ciastku.

Życie nie rozpieszczało babci, chociaż mało wiem o jej wczesnej młodości. Gdy żyła, byłam jeszcze zbyt młoda, żeby wiedzieć, że mogą to być bezcenne historie... Pamiętam z jej opowieści tylko jedną. Gdy była młodą dziewczyną, mama kazała jej lub którejś z jej siostr, iść do sklepu po zapalki. Żadna z nich jednak się do tego nie kwapiła, dlatego poszły wszystkie trzy. Za karę tę jedną paczkę zapalek musiały przynieść w rozłożonym kocu, trzymając go za





Z babcią

rogi, i w ten sposób przeparadować przez wieś, co narażało je na śmieszność i drwiące spojrzenia ludzi.

Czasem z rozmów babci z dziadkiem lub z innymi dorosłymi wylapywałam jakieś szczątki wspomnień wojennych, ale przy mnie zawsze gryzła się w język. Starła się chronić moje uszy przed tymi historiami. Kiedyś, gdy wspominała okrucieństwo radzieckich żołnierzy, zapytałam jej: „Ale jak to? Przecież oni byli dobrzy...”. Bo tak nas wtedy uczono w szkole. Babcia nagle zamilkła i tylko machnęła ręką, zostawiając mnie bez odpowiedzi...

Największy dramat przeżyła, gdy tragicznie zginął jej jedyny syn, a mój tata. Mimo to nadal była silna. A może jeszcze silniejsza niż wcześniej? Ale tylko pozornie, bo pod tą powłoką kryła się ogromna wrażliwość.





W przebraniu
mężczyzny
na jeleńskim weselu.

Jej znakami rozpoznawczymi było także duże poczucie humoru i umiłowanie do zabawy. Na jedno z odbywających się w Jeleniu wesel przysła przebrana za mężczyznę i obtańcowywała wszystkie kobiety. Któregoś dnia wraz z sąsiadką przebrały się za czarownice i wpadły, uzbrojone w miotły, na odbywające się w naszym starym domu zimowisko, w którym brały udział dzieci ze szkoły niedzielnej. Było dużo śmiechu, ale przedtem też i płaczu, zanim dzieci zorientowały się, co się dzieje.

Miała też niezwykłą relację ze... śmiercią. Odnosiłam wrażenie, że stara się z nią oswoić. Chodziła na wszystkie pogrzeby odbywające się na jeleńskim cmentarzu. Nawet jeżeli nie wiedziała, kim był nieboszczyk, to zasięgała języka wśród znajomych i już orientowała się, z kim go połączyć, bo był na przykład spokrewniony z kimś z jej znajomych. A to już był wystarczający powód, żeby uczestniczyć w jego ostatniej drodze.





Jako pomocnica
na weselu w Jeleniu

Dawniej przed pogrzebem nieboszczyka wystawiało się w domu. Gdy umarł nasz sąsiad, babcia zabrała mnie tam. Pamiętam, że głowę sięgałam nieco powyżej jego ogromnych, jak mi się wtedy wydawało, butów i obserwowałam, czy aby na pewno się nie poruszy. Innym razem poszłam do domu, gdzie w trumnie leżała dziewczynka w sukience komunijnej... A przynajmniej taki obraz mam w pamięci.

Hodowaliśmy kury, króliki, kaczki, które wcześniej czy później lądowały na naszych talerzach. Babcia tylko raz poprosiła dziadka, żeby zabił królika. Wziął go do rąk i próbował się zamachnąć siekierką, ale nie mógł tego zrobić – lży mu leciały ciurkiem. Zirytowana babcia wzięła zwierzę z jego rąk i jednym zdecydowanym ruchem pozbawiła je życia. Któregoś dnia zabijała koguta na moich oczach. Odcięła mu głowę i... puściła wolno. Biegał w tym





stanie po podwórku jeszcze przez parę minut, a ja to obserwowałam z rozdziawioną buzią.

Babcia miała głos jak dzwon! Gdy krzyknęła, to jej głos niósł się echem przez pół Jelenia. Ten dar wykorzystywała jednak też w inny sposób. W młodości śpiewała w chórze i pieszo chodziła na próby odbywające się w Chrzanowie.

Śpiewała najgłośniej w kościele, ale nuciła także w domu podczas obierania ziemniaków czy gotowania. Zazwyczaj były to pieśni z jej ukochanego kościelnego *Śpiewnika Pielgrzyma*. Podczas burzy siadała na zydelku w sieni, otwierała na oścież drzwi na podwórko i swoim potężnym głosem śpiewała:



*Spójrz Panie, burza szaleje i wicher wokoło dmie.
Nadziei promień ciemnieje, ciemności nam grożą złe.
Lecz swą prawicę wzniesź, Panie, a wicher nie będzie wiał.
Kiedy w pośród nas pośłać Twa śłanie, wnet burzy zamilknie szal.*

Babcia przeżyła dziadka o siedem lat. Po ich odejściu świat już nigdy nie był taki sam...





Bibliografia:

- Olgierd Budrewicz, *Spotkania z Polakami* (Warszawa Wydawnictwo Interpress, 1969).
- Arkady Fiedler, *Spotkałem szczęśliwych Indian*, (Warszawa, Iskry, 1984).
- Aleksander Grobicki, *Diamenty i aligatory*, (Toronto, autor, 1966).
- Henryk Paszcza, *Jeleń. VIII wieków historii*, (nakład autorski, 2024).
- Daniel Lis, *Ostatni plebejski teatr Krakowa*, 1 maja 2011 r., <https://kultura.onet.pl/wiadomosci/ostatni-plebejski-teatr-krakowa/dzp483s>, Onet.pl
- Kronika Miasta Jeleń 1973
- Książka Protokołów Polskiej Partii Socjalistycznej
- Zdjęcia wykorzystane w książce pochodzą z prywatnych archiwów: Teresy Sędzik, Jana Furmana, Henryka Paszczy, Janiny Rzepeckiej, Ireny Lipki, Eugeniusza Wilkosza, Urszuli Gutowskiej, Zofii Taborskiej, a także z facebookowego profilu „Jeleń na starej fotografii”, Kroniki Miasta Jeleń 1973 oraz z Książki Protokołów Polskiej Partii Socjalistycznej.



